Nr. 19 (1219). Warszawa, 24 Kwietnia (7 Maja) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Mowa w Karlsruhe: — Tydzień polityczny. — Z Dalekiego Wschodu. Klucz wschodu (c. d.), p. W. Sieroszewskiego. — ODCINEK: Hr L. Tołstoj: Trzy pytania, tłom. Wodnik. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Rachunki społeczne, p. J. Dąbrowskiego. — Kongres międzynarodowy w sprawie hygieny szkolnej, p. E. Sokolnicka. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Samuel Smiles, p. Zb. Br. — Władysław Folkierski (wspomnienie pozgonne). — LITERATURA I SZTUKA: Ostatnie dzieła Chmielowskiego (dokończenie), p. Wł. Bukowińskiego. — Z muzyki, p. Bojomira. — Nowe książki, p. zb. — SPRAWY EKONOMICZNE: Tramwaje mechaniczne w Warszawie. — Prasa polska. — Kronika. — Ofiary. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Mowa w Karlsruhe.

Cesarz Wilhelm o parę dni przyspieszył swój powrót do kraju. Już d. 27-go z. m. pożegnał „oblubienicę Adryatyku,“ nazajutrz spotkał się z małżonką swą w Strassburgu i razem z nią pojechał do Karlsruhe, aby przedewszystkiem pokazać się ukochanemu powinowatemu swemu, w. ks. badeńskiemu Leopoldowi. Powrócił z wycieczki śródziemnomorskiej opalony, dobrze wyglądający, podobno wyleczony z chrypki, w dobrym humorze i z dawniejszą swą werwą krasomówczą, a żywe dowody polepszenia się zdrowia fizycznego i duchowego złożył zaraz w mowie do nadburmistrza stołecznego, którego nazwisko może pozostać w ukryciu tak samo, jak i jego osoba, z przemową do obojga cesarstwa dopiero po raz pierwszy na widownię świata występująca. Polityk od mostków, bruków i targów pozwolił sobie w niej dotknąć polityki wszechświatowej, huczącej teraz działami i torpedami na dalekim wschodzie azyatyckim, a jako Niemiec dał ujście trosce z powodu niepowodzeń w Afryce zachodniej z Hererami. Cesarz w odpowiedzi swej pierwszy temat roztopił w ogólnik, a drugiego wcale nawet nie dotknął. Istotnego brzmienia mowy urzędownie dotychczas nie podano; z różnych doniesień daje się wyłuszczyć następująca osnowa:

Cesarz podziękował dygnitarzowi miejskiemu za przyjęcie uprzejme, jakiego doznał w Karlsruhe. Podziękowanie kazał uważać za płynące z serca. Nie spełniłby swego obowiązku, gdyby, wracając do kraju, nie odwiedził swych drogich kuzynów i nie dowiódł im osobistem zjawieniem się zupełnego już wyleczenia się z choroby. Potem zaraz powiedział: Uprzejme, zjednywające przyjęcie ze strony ludności tego miasta staje się dalszem ogniwem w łańcuchu pięknych powitań, doznawanych wszędzie we Włoszech. Serce moje cieszyło się na owych uroczych wybrzeżach z dotrwałych jeszcze śladów tych tak odległych już czasów, kiedy to cesarzowie rzymsko-niemieccy z rodu Hohenstauffów panowali we Włoszech północnych. Zarówno słowa, z któremi się do mnie zwracano, jak i depesze, które odbierałem, wskrzeszały mi przed oczyma epokę Fryderyka II. Słusznie pan powiedziałeś, że naród niemiecki ma przed sobą zadanie trudne, ale miał je nieraz już w swej przeszłości i pomyślnie rozwiązywał. Przypomnijmy sobie tylko tę wielką dobę, która zjednoczyła naród niemiecki, przypomnijmy sobie walki pod Weissenburgiem, Wörth i Sedanem, a przedewszystkiem ów okrzyk radosny, którym właśnie w. ks. badeński powitał pierwszego cesarza niemieckiego czasów dzisiejszych. Przypomnienie to wzmocni w nas uczucie jedności, spotęguje ufność w pomoc bożą.

„Wypadki, które wstrząsają dziś światem całym, powinny nas doprowadzić do zapomnienia o stronniczych waśniach wewnętrznych. Ufam, że pokój nie zostanie zakłóconym, a wydarzenia rozgrywające się w oczach naszych sprawią to, że wszystkie duchy niemieckie wytężą się w jednym kierunku, że się wzrok Niemiec zaostrzy, wzmocni ich odwaga, i że staniemy zjednoczeni duchem na tę chwilę, w którejby wystąpienie nasze w polityce wszechświatowej okazać się mogło potrzebnem.“

Wrażenie mowy w prasie niemieckiej było wogóle dodatniem. Chwali ona cesarza za pewien odpór dany zachciankom do zburzenia przymierza potrójnego i odosobnienia Niemiec, wypuszcza strzały, mniej lub więcej zatrute, na świeże braterstwo włosko-francuskie, na intrygi, które podróż Loubeta ośmieliła i wywołała; powszechnie stwierdza powagę obecnego położenia, niepozwalającą na uważanie dalekiej sprawy azyatyckiej, z całym jej możliwym, przez niektórych w kształty prawdopodobieństwa już wyraźnie określanego ujmowanym, rozwojem — za całkiem obojętną dla Niemiec, w tem znaczeniu i rozmiarze, jakieby wysnuć można było ze znanego oświadczenia p. Bülowa, że Niemcy nie mają w Mandżuryi żadnych takich interesów, którychby bronić mieli obowiązek.

Wszędobylstwo i wszechwiedztwo dziennikarskie kazały już cesarzowi Wilhelmowi skrócić pobyt w Wenecyi — gdzie mu było tak dobrze z cieniami Hohenstaufów, mającemu wcale niedaleką drogę z poblizkiej Lombardyi, gdzie zamierzał sobie już kupić pałac na coroczny pobyt — wskutek otrzymanych, ważnych depesz, a podobno nawet papierów — z Berlina. Ta okoliczność, że kanclerz Bülow stawił się na powitanie w Karlsruhe, popierała domniemania. Nie przestają one być jednak tem, czem od początku były — gazeciarskiem stukaniem w palce. Bez ważnych nawet a palących spraw, bez depesz i papierów można sobie łatwo imprezę cesarską wytłomaczyć. Najpierw lubi on bardzo mówić, lubi ze sposobności do krasomówstwa korzystać; odzyskawszy głos, odzyskał i potrzebę wprawiania w drżenie i swych strun głosowych i swych myśli politycznych, w typ dramatyczno-bohaterski nieodwołalnie już, niepoprawnie urobionych. Dramatyzm i heroizm same się

nastręczały wobec współczesnej z pobytem we Włoszech podróży Loubeta i samych znamion braterstwa, choćby bez istotnej zbratania się treści. Jako wielko-Niemca, jako monarchę niemieckiego wyrosłego z pogromu Francyi rozgniewało go to w każdym razie zbliżenie się, formalnie, pozornie wymierzone przeciwko trójprzymierzu i głównej w nim potędze — Niemcom. W tym gniewie po raz pierwszy od bardzo wielu lat dotykalnie przypomniał Francyi jej klęski, wymieniając Weissenburg, Wörth i Sedan, po raz pierwszy od bardzo wielu lat posłał Francyi przestrogę, aby się nie rozpędzała zbyt daleko w w polityce nieprzyjaznej dla Niemiec. I to jest główny, najwyższy punkt wzniesienia się oratorskiego nad poziomy powszednich stosunków i robót dyplomatycznych. Ustęp końcowy logicznie wiąże się z tem napomnieniem danem Francyi; opiera się na domniemaniu czynnego, a wbrew Niemcom, wystąpienia Francyi bądź w samych wypadkach Dalekiego Wschodu, bądź też dzięki tym wypadkom na jakiej innej widowni dziejowej. Nie żaden fakt nowy, ale nastrój osobisty wywołał mowę.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Japończycy stoją już na zachodnim, mandżurskim brzegu Jalu. Armia gen. Kuroki z pomocą kanonierek postawiła w d. 29 i 30 z. m. mosty na zatoce rzeki, główny pomiędzy Szachedzą a Kuliendżyn, w miejscu najszerszem, na 5 kilometrów szerokiem. Od opanowania wyspy rzecznej na tej linii rozpoczęło się właśnie przezwyciężanie przeszkody naturalnej, wzmocnionej silnemi bateryami wojsk rosyjskich od Antungu (ros. Anduń) naprost Widżu, w górę ku północy aż do właściwego koryta rzeki. Dla Japończyków wielką pomocą była baterya z dział 12-calowych, doskonale ukryta, która ostrzeliwała brzeg przeciwny, utrudniając trzymanie się na pozycyach. Przerwanie budowy jednego mostu pontonowego w d. 28 z. m. nie zapobiegło postawieniu innych. Kiedy d. 30 z. m. dwie dywizye przechodziły na północ od Antungu, który nie mógł wytrwać w ogniu kanonierek, na południe od niego trzecia budowała most, po którym przedostała się na drugi brzeg i wraz z niemi o świcie d. 1 maja natarła na pozycye mandżurskiego brzegu rzeki. Natarcie to zakończyło się odstąpieniem wojsk rosyjskich od Jalu. Telegram gen. Kuropatkina z Liaojangu d. 3 maja stwierdza ten fakt w następujących słowach: „Japończycy w wielkiej sile przeszli Jalu i zaatakowali nasze pozycye pod Tsu-lien-czenem (na północ od Szachedzy) i Chusanem. Zażarta bitwa trwała cały dzień (1 maja). Po obu stronach duże straty, ale jeszcze nieobliczone. Silnie ucierpiała jedna nasza baterya. Wobec znacznej przewagi sił nieprzyjacielskich i artyleryi nasza przednia straż odeszła od Jalu.“

Depesza japońska, nadeszła do Londynu, podaje kierunek odejścia tej straży przedniej—mianowicie do Fyn-chuan-czengu. Ponieważ innej drogi nie było, podanie to jest prawdziwem. Według *Local-Anzeigera* berlińskiego bitwa toczyła się między 25 tys. Rosyan i 80—100 tysiącami Japończyków; druga z tych liczb jest wyssana z palca: trzy dywizye, choć jedna z nich należy do gwardyi, w sumie nie mogą dać nawet 60 tysięcy, a skala stu wydaje się już czystym konceptem dziennikarskim. Wreszcie nie przerzuca się wszystkich sił swoich, choćby tylko dla utrzymania etapów. Sama górzystość powierzchni zmuszała do działania jak najmniejszemi siłami w żołnierzu, a jak największemi w artyleryi. Walczono też ogniem karabinowym, może nawet i na bagnety. Japończycy straty swoje ustanawiają na 700 ubyłych z szeregów. Przeprawa wiele ich kosztowała: po szyje brodzili w wodzie — pomimo mostów. W Paryżu przewidywano nową bitwę na d. 3 maja. Według wiadomości dziennika *Ruś* w Liao-jangu, do którego prowadzi droga na powyższy Fynchuan-czeng, było 10,000 wojska. O wylądowaniu pod Takuszanem niema wiadomości.

Krążownik, który d. 25 b. m. ukazał się w Genzanie i zatopił statek handlowy, należał do eskadry wiceadmirała Jessena z Władywostoku. W drodze do tej twierdzy krążowniki i torpedowce rosyjskie napotkały jeszcze jeden statek handlowy z kontrabandą i również go zniszczyły: wreszcie niedaleko od zatoki Plaksina dostał się im parowiec wojenny japoński Kiszyn-maru, o 5,000 tonnach. Znajdowało się na nim 200 żołnierzy i ok. 20 oficerów, pomiędzy nimi jeden wyższy, ze sztabu generalnego. Część oficerów poddała się, inni wraz z żołnierzami w ogólnej liczbie ok. 150 zginęli na pokładzie torpedami rozsadzonego statku, strzelając do ostatka z karabinów. Widziano umierających w uściskach śmierci samobójczej, choć mieli już żywiołową tak nieuchronną, tak bliską.

Niedorzeczne pogłoski o pośrednictwie króla angielskiego skłoniły hr. Lamsdorffa do rozesłania noty okólnikowej, która odsuwa wszelką wogóle interwencyę i załatwienie sprawy z Japonią oddaje do samego końca orężowi; gdy zaś oręż spełni swoje, Rosya nie będzie również potrzebowała niczyjego pośrednictwa do zawarcia pokoju i nawet nie pozwoli na —.

Loubet d. 29 z. m. zrana wyrwał się z przyjacielskich objęć króla Wiktora Emanuela III. W Neapolu „odbył przegląd“ okrętów włoskich i francuskich we wspaniałej, teatralnie na pożegnanie obranej zatoce, wsiadł na okręt „Marseillaise“ i odpłynął do Marsylii. Nazajutrz już był w Paryżu. Hymny serdecznego przymierza trochę ucichną.

Wybory do rad municypalnych i gminnych całej Francyi, odbyte d. 1 maja, przyniosły klęskę nacyonalistom — wynik pocieszający. Republikanie rządowi i nierządowi wzmogli się w siły. W samym Paryżu większość republikańska zapewniona.

Zgoda Czechów z Niemcami rozbiła się o Koerbera. Byłaby się rozbiła o Czechów i o Niemców, gdyby Koerber nie był wlazł pomiędzy nich. Delegacya austryacka, wybrana mimo straszliwych grzmotów czeskich w Izbie, razem z węgierską zbierze się w środku bieżącego miesiąca. Żądanie funduszów nadzwyczajnych na wojsko występuje w programacie rządowym na pierwszem miejscu.

Wielki lama przysłać ma nareszcie pełnomocników do Gyan-tse na układy. Skłonił go do uległości komisarz chiński: porozumieli się z sobą. W każdym razie Tybet, dla Chin stracony, dla Rosyi pożądany, bez walki z nią w krąg polityczny Anglii się nie dostanie.

Hr. L. Tołstoj.

Trzy pytania.

Przyszło raz na myśl królowi, że gdyby wiedział czas, w którym najstosowniej zaczynać jakąś sprawę, nadto gdyby wiedział z jakimi ludźmi trzeba, a z jakimi nie należy mieć do czynienia, i najważniejsza, gdyby zawsze wiedział jaka sprawa jest najpilniejszą — to nieznaneby mu były niepowodzenia. I rzekłszy to, ogłosił król po swem królestwie, że da wielką nagrodę temu, kto go nauczy, jak poznawać właściwą porę dla każdej sprawy, jak rozróżniać najużyteczniejszych ludzi i jak uniknąć omyłki w wyborze sprawy ze wszystkich najpilniejszej.

Zaczęli przychodzić do króla ludzie uczeni i odpowiadali rozmaicie na jego pytania.

Na pierwsze pytanie jedni mówili, że aby wiedzieć, kiedy zaczynać jaką sprawę, należy ułożyć tablicę dni, miesięcy, lat i ściśle się trzymać, tego, co naznaczone na każdy dzień. Tylko wtedy, — mówili jedni — każda sprawa będzie załatwiana w swoim czasie. Drudzy twierdzili, że nie można oznaczyć naprzód, jaką sprawę kiedy rozpoczynać i, nie rozpraszając uwagi na błahostki, należy zawsze zważać na to, co się dzieje i czynić to, co wypada. Trzeci dowodzili, że choćby król był nie wiem jak uważny, to jeden człowiek nie może rozstrzygnąć, co kiedy trzeba robić, a powinien mieć radę z ludzi mądrych i z jej pomocą decydować, co w jakim czasie czynić. Inni utrzymywali, że bywają takie sprawy, wobec których niema czasu na pytanie o radę ludzi mądrych, a trzeba decydować się natychmiast. W tym celu należy wiedzieć naprzód, co się zdarzy. A to mogą tylko wróżbici, ich przeto pytać się trzeba, jaki jest najwłaściwszy czas dla każdej sprawy.

Tak samo rozmaicie odpowiadali i na drugie pytanie. Jedni mówili, że najpotrzebniejszymi dla króla ludźmi są jego pomocnicy w rządzeniu; drudzy — że ze wszystkich ludzi najbardziej potrzebni królowi — wojownicy.

Na trzecie zaś pytanie: jaka sprawa najważniejsza, jedni dowodzili, że sprawą najważniejszą na świecie są nauki; drudzy — że sztuka wojenna; trzeci, że niema nic ważniejszego nad służenie bogom.

Wszystkie odpowiedzi różniły się między sobą, więc król na żadną się nie zgodził i nagrody nikomu nie dał. By zaś dowiedzieć się tego, co poznać pragnął, postanowił spytać pustelnika, o którego mądrości rozchodziła się sława daleko i szeroko.

Pustelnik mieszkał w lesie, nigdzie nie chodził i przyjmował tylko prostaków. Król więc ubrał się w prostą odzież i, nie dojeżdżając ze swoją świtą do celi pustelnika, zszedł z konia i udał się do niego piechotą.

Kiedy król się zbliżał, pustelnik kopał grzędy przed swą izdebką. Ujrzawszy przybywającego, powitał go i natychmiast wrócił do kopania. Pustelnik był chudy i słaby, ciężko oddychał, wsadzając łopatę w ziemię i wywracając niewielkie jej bryły.

Król podszedł do niego i rzekł:

— Przyszedłem do ciebie, mądry pustelniku, prosić o odpowiedź na trzy pytania: o jakim czasie należy pamiętać i nie zaniedbywać się, aby potem nie żałować tego, kto z ludzi może być najpotrzebniejszy, jakie sprawy są najważniejsze i wymagają załatwienia przed innemi.

Pustelnik wysłuchał króla, lecz nic nie odpowiedział, tylko splunął w dłoń i znowu zaczął grzebać w ziemi.

— Ty się zmęczyłeś—powiedział król— daj mi łopatę, ja cię wyręczę.

— Dziękuję — rzekł pustelnik i, podawszy łopatę, usiadł na ziemi.

Skopawszy dwie grzędy, król przestał i powtórzył swe pytania. Pustelnik nic mu nie odrzekł, lecz wstał i wyciągnął rękę po łopatę.

— Teraz ty odpocznij, daj mnie... — powiedział.

Lecz król nie oddał łopaty i kopał znowu. Minęła godzina jedna, druga; słońce zaczęło chylić się za drzewa. Król wbił łopatę w ziemię i rzekł:

Przyszedłem do ciebie, mądry człowiecze, po odpowiedź na moje pytania. Jeśli

Król Piotr już obmył ręce z krwi czerwcowej: wszystkim adjutantom-królobójcom nietylko dał dymisyę, ale pokazał próg swego pałacu. Teraz już dyplomacya wraca. P. Gubastow, z Watykanu przeniesiony do Belgradu, miał ważną z królem audyencyę. Układ tajemny związał Serbię z Bułgaryą. Turcya patrzy podejrzliwie — i słusznie.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

VI. Dolina Anbion'u. Rolnictwo.

Pola, pola bez końca... Rude role i rude rżyska, przecięte licznymi jarami, w których płyną bystre potoki. Na potokach zawsze te same garbate mostki na cienkich nóżkach, nad potokami zawsze te same szare wsi, chaty zbudowane z mułu i kamienia, nakryte słomianemi strzechami.

Maleją one i zapadają się tem głębiej w wąwozy, im wyżej wznosi się ogólny poziom doliny. Wreszcie okolica wydaje się zupełnie bezludną pustynią, przez którą samotnie biegnie od miasta Anbion *) ubogi, opuszczony telegraf.

An-bion, stolica powiatu, pozostał daleko za nami. Słynie z wyrobu papieru oraz prowadzi handel ryżem, grochem, bobem... Doprawdy nie wiem, skąd bierze ich nadmiar, gdyż cała okolica, choć skrzętnie uprawna, wygląda na bardzo kamienistą. Oprócz niezliczonej ilości drobnych kamieni, rozsypanych na polach, czernieją tam gęste, wielkie archipelagi głazów, całe ich stosy i smugi, wśród których wązkie, orne pola wiją się kapryśnie, jak morskie cieśniny i zatoki.

Z czasem przekonałem się naocznie i dowiedziałem, że stan taki nie jest wcale wyjątkowym, owszem powszechnym w całej Korei.

Korea jest krainą przeważnie skalistą — ogromnym, jednolitym głazem, wysuniętym, jak to wzmiankowałem już powyżej, daleko w morze i pogrążonym zachodnim swym bokiem głęboko w morskie błota, podczas gdy wschodni sterczy na trzy do pięciu tysięcy stóp nad poziom oceanu. Rysy, pęknięcia, szczerby i szczeliny, wklęśnięcia i wypukłości tej potwornej skały odpowiadają swymi rozmiarami jej wielkości, tworząc górskie łańcuchy, wąwozy i doliny.

To porównanie sięga o wiele dalej, niż zwykła literacka przenośnia. Geologiczne badania Korei wykazują przedewszystkiem wielką jednolitość jej budowy, przewagę skał archejskich: gnejsów i łubków łyszczykowych, pokrytych z wierzchu cienką powłoką warstw późniejszych, niby kurzem lub namułem, osiadłym na rozmytej płycie kamiennej.

Podróżnika, niespecyalistę uderza przedewszystkiem ogromna ilość skał wybuchowych: granitów, bazaltów, law oraz grubych częstokroć warstw i gniazd pumeksu, piasku i pyłu wulkanicznego. Granity tworzą niepoślednie łańcuchy górskie, bazalty, wysokie opoki, lawę widać wszędzie. Czasami są to olbrzymie, samotne głazy, jakby świeżo upadłe wśród pola lub na stok pagórka; gdzieindziej kupy bezładnych pocisków, rzuconych na dolinę z wielkiej odległości; owdzie drobniejsze jej złomy, ostre i lśniące, jak szkło butelkowe, tworzą obszerne rozsypiska, długie grzędy i wały, jakby zepchnięte gwałtownie przez wielkie ciężary, podobne z układu do moren lodowcowych, choć lodowców niema w Korei, i dotychczas nie odkryto ich śladów w przeszłości.

Wogóle powierzchnia Korei w wielu miejscach wygląda, jak ogromne, świeże rumowisko, pełne spękanych ruin górskich lub spiętrzonych urwisk o niezupełnie ustalonej równowadze, wielce podobnych do wiecznie drżących wiszarów Japonii. Tymczasem Korea nie zna wcale trzęsień ziemi. Wśród mieszkańców niema nawet podań o tem zjawisku, z wyjątkiem wyspy Quelpart, gdzie w początku XI stulecia, według kronik chińskich, miało miejsce kilkudniowe kołysanie się ziemi i nagłe wzniesienie się szczytu góry Hanrla-san *).

O burzliwej przeszłości lądu korejskiego świadczą obecnie jedynie jego chaotyczne, skaliste zwały oraz wielka ilość wygasłych na zawsze kraterów. Jeden z nich, doskonale zachowany, widziałem nawet na łagodnej pochyłości Anbiońskiej doliny. Był to piękny cyrk, porosły darniną, samotnie wznoszący się wśród płaskich niw, niby wielka reduta. Przez pęknięcia w jego skalistym pierścieniu dostrzegłem w samym kraterze rolnika, spokojnie orzącego dno zasklepione od wieków. Z krawędzi szczytu chyliły się ufnie ku wnętrzu dwie krzywe sosny.

Z powodu obfitości kamieni gruntów ornych w Korei jest w rzeczywistości o wiele mniej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Niektóre pola są literalnie usiane nimi, choć wieśniacy wciąż zbierają je skrzętnie. Gdym po raz pierwszy zobaczył takie pole obierane z kamieni, nie rozumiałem, co to jest i przypuszczałem, że na tem miejscu ma stanąć jakiś budynek. Całe było zastawione stosami połowca. Wynoszą go następnie na miedzę, przydroże, lub zrzucają do dołów i moczarów. Są nieszczęśliwe rodziny, zmuszone rok rocznie usuwać na plecach setki stóp tego nieprzy-

*) Korejczycy piszą An-pion, gdyż w korejskiem abecadle niema litery *b*, lecz *p* po *m*, *n*, *l* wymawia się jak *b*; z tego powodu pisownia An-bion została przyjęta na mapach europejskich.

*) Górzysta wyspa Quelpart, po korejsku Czo-czju, leży o 100 mil mor. od południowego brzegu półw. Korejskiego. Prawie w jej środku wznosi się wysoka na 6,500 stóp góra Hanrla-san, zwana przez Europejczyków g. Auckland. Na jej szczycie, według opowieści krajowców, są trzy obszerne kratery, pełne obecnie wody. Mają tam mieszkać pierwsi ludzie, ojcowie rodzaju ludzkiego. Cała wyspa, usłana złomami bazaltu i lawy, słynie z urodzajności, pięknego klimatu, bujnej roślinności oraz pięknych, mocnych, półdzikich kucyków, wywożonych nawet do Europy. Mieszkańcy używają opinii dzikich i nieobyczajnych. Znaczna ich część pochodzi od zsyłanych tu z dawien dawna zbrodniarzy. Powierzchnia Quelpartu wynosi około 2,000 [illegible] 100,000, liczba [illegible]

---

nie możesz odpowiedzieć mi na nie, to mów otwarcie: ja pójdę do domu.

— A oto ktoś biegnie ku nam — powiedział pustelnik — Zobaczmy, kto to jest.

Król obejrzał się i spostrzegł, że z lasu bieży jakiś człowiek brodaty. Człowiek ten trzymał się rękami za brzuch; z pod rąk jego ciekła krew. Podbiegł do króla, upadł na ziemię i wywróciwszy oczy, nie ruszał się, tylko jęczał słabo.

Król z pustelnikiem rozpięli odzież jego. W brzuchu miał on ranę. Król, jak umiał, obmył ją i obandażował swoją chustką i ręcznikiem pustelnika. Lecz krew nie przestawała płynąć z rany. Król kilka razy zdejmował zmoczony ciepłą krwią bandaż, aby obmyć ponownie i opatrzyć ranę.

Kiedy krew płynąć przestała, ranny się ocknął i poprosił pić. Król przyniósł świeżej wody i napoił go.

Słońce tymczasem zaszło zupełnie i zrobiło się chłodno. Król z pomocą pustelnika przeniósł rannego człowieka do celi i ułożył na łóżku. Leżąc, zamknął on oczy i przycichł: Król zaś tak się zmęczył chodzeniem i pracą, że przycupnąwszy na progu, zasnął także i to tak mocno, że przespał całą, krótką noc letnią i, przebudziwszy się z rana, długo nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje i co za człowiek brodaty leży na łóżku i przygląda mu się uważnie błyszczącemi oczyma.

— Przebacz mi — rzekł tamten słabym głosem widząc, że król się przebudził i patrzy na niego.

— Nie znam ciebie i nie mam ci co przebaczać — rzekł król.

— Ty mnie nie znasz, ale ja znam ciebie. Jestem ten, który przysiągł zemścić się na tobie za to, że straciłeś mego brata i zabrałeś mi majątek. Wiedziałem, że poszedłeś sam do pustelnika, więc postanowiłem cię zabić, gdy będziesz wracał. Lecz upłynął cały dzień, a ciebie nie było. Wtedy porzuciłem kryjówkę, aby dowiedzieć się, gdzie jesteś i natrafiłem na twoich przybocznych. Ci poznali mnie i zranili. Uciekłem od nich. Lecz, ociekając krwią, umarłbym, gdybyś ty nie opatrzył mi rany. Ja chciałem zabić ciebie, a ty mi wróciłeś życie. Teraz, jeżeli nie umrę, a ty zażądasz, będę ci służył, jak najwierniejszy niewolnik i toż samo przykażę moim synom. Przebacz mi.

Król był bardzo rad z tego, że tak łatwo mu się udało pogodzić z wrogiem i nietylko mu przebaczył, ale obiecał nawet zwrócić mu zabrany majątek i przysłać po niego swoich służących i swego lekarza. Pożegnawszy rannego, wyszedł król na ganek, upatrując pustelnika. Chciał poraz ostatni poprosić o odpowiedź na zadane pytania. Pustelnik był na podwórzu i, pełzając na kolanach obok skopanych wczoraj grząd— siał nasiona ogrodowe.

Król podszedł do niego i powiedział:

— Ostatni raz proszę cię, mądry człowiecze, odpowiedz na moje pytania.

— A przecież odpowiedziano ci już na nie — odrzekł pustelnik, przysiadłszy na chudych łydkach i patrząc do góry na stojącego przed nim króla.

— Jakto odpowiedziano? — spytał król.

— A jakże? — rzekł pustelnik — Jeżeli byś wczoraj nie ulitował się nad moją słabością i nie wyręczył mnie w skopaniu tych grzęd, to zuch ten napadłby ciebie i pożałowałbyś, żeś mnie porzucił. Stąd wniosek, że czas najodpowiedniejszy był ten, kiedy kopałeś grzędy, najużyteczniejszym człowiekiem byłem ja, a sprawą najważniejszą było zrobić mi dobrze. A potem, gdy ten przybiegł, najodpowiedniejszy czas był ten, kiedy nim się zajmowałeś, dlatego że, jeżeli nieopatrzyłbyś mu rany, on umarłby, nie pogodziwszy się z tobą. Z tego wynika, że on był najużyteczniejszym człowiekiem, a to co mu uczyniłeś — najważniejszą sprawą. Pamiętaj tedy, że najodpowiedniejszym czasem jest: *natychmiast*; a najodpowiedniejszym dlatego, że w nim tylko jesteśmy panami siebie; najodpowiedniejszym człowiekiem jest pierwszy spotkany, dlatego że nikt nie może wiedzieć, czy będzie miał jeszcze do czynienia z jakimkolwiek innym człowiekiem, a sprawą najważniejszą jest — zrobić dobrze temu człowiekowi, bo tylko takie jest posłannictwo każdego w życiu.

Tłom. *Wodnik.*

jaciela, inaczej pola ich w krótkim czasie wyjałowiałyby do szczętu i znikły pod skorupą głazów, nieustannie wyłaniających się ze spulchnionej gleby, jak rodzynki lub migdały z ciasta. Powtarzam, że dolina An-bion'u nie wydała mi się wcale wyjątkową, owszem, może tam nawet mniej było kamieni, niż gdzieindziej, gdyż bez przesady twierdzić mogę, że nawet na zachodniem pobrzeżu Korei nie widziałem nigdzie gruntów zupełnie wolnych od plagi kamiennej.

Poczęści z tego powodu, ale przeważnie z biedy, motyka (chomi) pozostaje dotychczas głównem narzędziem rolniczem tubylców. Jest ona prarodzicielką pługa — i przedstawia wielkie, krzywe, metr bez mała długie i ze 20 centymetrów szerokie żelaźco, nasadzone pod ostrym kątem na piętę trochę dłuższej od niego rączki. Używają jej na całym Dalekim Wschodzie, w Chinach i Japonii. Nie jest ciężka, ale wymaga przy robocie przykrego pochylania się bardzo nizko nad ziemią. Doskonałą jest w uprawie ogrodowej, gdyż podcina głęboko korzenie chwastów i ułatwia ich trzebienie. Krzywizna i sprężystość jej ostrza pomaga omijać, spotykane w głębi ziemi, twarde przeszkody, oraz pozwala w razie potrzeby przenikać w szczeliny między niemi. Stąd wyborna jest do karczunku i wykopywania kamieni. Pług (katagi) korejski jest w istocie rzeczy taką samą motyką, jedynie większą i zaprzężoną w wołu; pług większy dla pary wołów przedstawia już narzędzie doskonalsze, i o ile mogłem zauważyć, ściśle naśladuje pług chiński. Do kopania ugorów, rowów i dołów Korejczycy używają już zupełnie własnego wynalazku. Czynią to za pomocą dużej łopaty (czol-ga-re), do której przywiązane są dwa sznury. Kopacz wtyka ją w ziemię, poczem stojący przed nim o kilka kroków pomocnicy ciągną ją sznurami do siebie. Pozwala to wyważyć z miejsca znaczne ciężary i w kamienistej Korei jest może odpowiednie, lecz Korejczycy wskutek przyzwyczajenia kopią tak nawet ziemie miękkie w kraju Ussuryjskim.

Pomimo braku dobrych narzędzi pola w Korei są o wiele lepiej uprawne, niż w Rosyi, a nawet w Niemczech. Ustępują one jednak wiele pod tym względem polom chińskim i japońskim, gdzie robota doprowadzona jest do mistrzowstwa, gdzie niwy sprawiają wrażenie wprost artystyczne szczytem swej bujności, doskonałem wyzyskaniem warunków światła, ciepła, wilgoci i gleby, szczególną pieczołowitością w obejściu z każdem niemal źdźbłem, które wydają się delikatnemi paniętami, wychowanemi w rozkoszy i wygodzie.

Niwy korejskie nie robią tego wrażenia; w ich rolach, czy to wskutek właściwości tamtejszego grunty, czy przyczyn historycznych, nie dają się wyczuwać te miliony miłosnych dotknięć rąk czułych i pracowitych, które urobiły ziemie chińskie i japońskie w twory dziwnie posłuszne, układające się łatwo i jednakowo w skiby równiutkie według woli i potrzeb oracza. Uprawne rośliny korejskie są również jakieś... nieokrzesane, miejscami wprost zaniedbane, źle odżywiane, niedość zabezpieczone od napaści wichrów i wody. Często spotykałem zasiewy rozmyte przez powodzie, wpół zasypane przez piach, widziałem ryż bardzo splątany, poczerniały i wbity w błoto ulewą, widziałem na zagonach chwasty i późną jesienią zboża przejrzałe na pola.

Na południu półwyspu pola są mniejsze, staranniej uprawne i w obejściu się z roślinami łatwo wyczuć wpływy japońskie; na północy i zachodzie całkowicie panują sposoby i zwyczaje zapożyczone z Chin północnych i Mandżuryi. Przeważają też tam pola zaorane w długie, zlekka wygięte zagony, obsadzone na miedzach drzewami oraz obszerne pola ryżowe, okolone wysokiemi groblami.

Nawozów używają Korejczycy mniej, niż ich bogatsi sąsiedzi i o wiele gorszego gatunku. W całym kraju znane są mierzwy bydlęce, nawozy ludzkie, próchnica, popiół, wapno, oraz wzmacnianie roli w azot przez zasiew bobu, ale użyźniać pola ryżowe za pomocą kompostów rybich zaczęto dopiero niedawno w prowincyach południowych za przykładem kolonistów japońskich. Nawozów zielonych, stosowanych z powodzeniem już w całej Japonii, Korejczycy nie znają dotychczas.

Jeżeli mimo to urodzaje w Korei wypadają pomyślnie, a nawet świetnie, przypisać to należy wielkiej żyzności wulkanicznej gleby korejskiej, zasycanej wciąż przez gwałtownie wietrzejące gnejsy i granity, oraz obfitej wilgoci długiego i ciepłego lata.

Średnia wydajność zasiewów w Korei północnej dochodzi *):

Czumida (rodzaj prosa)	od 120—150	zły urodz.	30
Kukurydza	80—60	„ „	15
Ryż	50—20	„ „	5,6
Jęczmień , ... -	30—20	„ „	3,5
Bób	60—20	„ „	5,6

A więc nawet w złe lata plenność zboża w Korei dorównywa prawie średniemu urodzajowi europejskiemu.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

*) „Opisanie Korei," wyd. minist. skarbu. T. II str. 121.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Brak pracy. — Co robimy na to. — Nigdy na nic nie jesteśmy przygotowani. — Dlaczego prasa prowincyonalna jest tak jałową? — Towarzystwo lekarskie płockie. — Czytelnia bezpłatna. — Okres zebrań ogólnych.

Do II-go cyrkułu przyprowadzono Helenę Perkowską, robotnicę fabryczną bez zajęcia i mieszkania, z głodu i zimna pozbawioną sił. Na ulicy Średniej pod nr. 22 zauważono leżącego człowieka. Był nim Henryk Krzemień, lat 32, robotnik fabryczny, pozostający bez zajęcia i mieszkania, który z zimna i głodu dostał osłabienia i wyczerpania sił. Na ul. Konstantynowskiej pod nr. 48 spostrzeżono człowieka, leżącego na trotuarze. Był to Chaim Szwarmbrot, krawiec, lat 30, obecnie bez zajęcia i mieszkania, w ogólnem wyczerpaniu sił z głodu i zimna. Na ulicy Widzewskiej pod nr. 99 zauważono człowieka, leżącego na chodniku; był nim Oskar Bem, lat 18, pozostający bez zajęcia; stwierdzono ogólne osłabienie z głodu. Na ul. Głównej pod nr. 36 spostrzeżono kobietę, leżącą na ziemi; była nią Chaja Goldberg, lat 28, pozostająca bez zajęcia i mieszkania, która z wycieńczenia uległa ogólnemu osłabieniu. Na ul. Piotrkowskiej pod nr. 101, Maryanna Skwarcowa, lat 40, pozostająca bez zajęcia i mieszkania, znaleziona została w stanie napół przytomnym. Na ulicy Średniej pod nr. 32, spostrzeżono człowieka, leżącego na chodniku; był nim A. B., pozostający bez mieszkania i zajęcia, w stanie ogólnego osłabienia. Na ulicy Piotrkowskiej, koło domu nr. 68, przechodnie spostrzegli jakąś kobietę, leżącą na chodniku; była nią Józefa Naumot, lat 38, robotnica fabryczna, pozostająca bez mieszkania i zajęcia. Na ul. Rozwadowskiej, pod nr. 8, przyprowadzono do cyrkułu Jana Lange, lat 60, pozostającego bez zajęcia, w stanie ogólnego wyczerpania sił — itd.

Jest to szereg notatek, zebranych z pism łódzkich w przeciągu mniej więcej dwóch tygodni. Każda z tych notatek pociesza czytelników wiadomością, że „pomocy udzielił lekarz Pogotowia," lub że chorego odwieziono do takiego to a takiego szpitala, skąd zapewne po kilku dniach wypisany zostanie, aby znów być znalezionym w stanie ogólnego osłabienia.

Dumni jesteśmy z Łodzi, dumni z tego „polskiego Manchesteru," z tysięcy wystrzelających w niebo jego kominów fabrycznych, rywalizacyi co do kultury z samą Warszawą. Jedynem naszem zmartwieniem to troska, że zbyt jeszcze niemczyzny tam dużo, ale zresztą... Pysznimy się Łodzią: życie tam wre i kipi; ma ono swoich malarzy, rzeźbiarzy, literatów i wydawców, ma swoje stowarzyszenia, olbrzymi zastęp dzielnej inteligencyi zawodowej, ludzi z wykształceniem i dążnościom społecznym nieobcych, a jednak... nikt wśród tej rzeszy „wolnych najmitów" inteligentnych i dobrze płatnych nie znalazł się taki, coby choć cokolwiek żywsze współczucie okazał ginącym z głodu i zimna braciom i towarzyszom pracy. Ma Łódź dwa dzienniki polskie, a w żadnym nie znajdzie pozytywnego, głębszego omówienia tej strasznej kwestyi, choćby krótkiego artykuliku, podającego wiadomości o racyonalniejszem urządzeniu szukania pracy, o przyniesieniu ulgi poważniejszej tysiącom cierpiących. Pozostawiono to filantropom, do których serc litościwych przemawia żałośnie *Goniec Łódzki*, błagając o okruchy chociaż ze stołów tych, co lepiej żyć mogą. Słabą też widzimy akcyę pomocniczą: kilku fabrykantów organizuje kuchnie bezpłatne, wydające po kilkadziesiąt obiadów dziennie. Kółka ochotnicze zapowiadają w niedługim czasie pomoc, lecz wobec ogromu niedoli wszyscy zmuszeni są z góry zastrzedz, iż do otrzymania bezpłatnych obiadów i pomocy mieć będą prawo ci jeno, którzy przynajmniej od dwóch miesięcy pozbawieni są pracy.

„Śmiechem piekielnym — kończy artykuł, poświęcony omawianej sprawie współpracownik *Gońca Łódzkiego* — wydaje mi się projekt pewnego kółka... zatańczenia na biednych."

Zaznaczyć należy również obudzoną w tym czasie działalność miejscowego Towarzystwa dobroczynności dla ulżenia niedoli. Utworzyło ono komitety cyrkułowe w celu informowania się o nędzy i niesienia możliwej pomocy, a porozumiało się z kuratoryum trzeźwości oraz z kuchnią fabryczną Tow. akc. „L. Geyer," dzięki czemu będzie można wydawać do 800 obiadów dziennie po 5 do 6 kop.

Co gorsza, ta bezradność, ten brak jakiegobądź przygotowania na wypadek niedoli, to nasza cecha chroniczna. Żadna klęska żywiołowa nie przychodzi do nas znienacka, zbliża się ona powoli, daje znać o sobie na długo przedtem, zanim uderzy, i z zimnem, obojętnem, strasznem i jakiemś bezmyślnem okrucieństwem przygniata nas bezradnych, choć przeczuwających i nawet widzących zbliżającą się marę, zdolnych potem jedynie do jęków żebraczych. Tak było wobec powodzi zeszłorocznej, tak jest przy każdym pożarze większym i wreszcie to samo widzimy dziś w Łodzi, gdy dawno oczekiwany i sporo już czasu trwający kryzys ekonomiczny całe masy wyrzucił na ulicę.

Na tem tle dziwnie odbija jałowość naszej prasy prowincyonalnej, tego zwierciadła stanu umysłowego i ideowego kraju po za Warszawą. Jałowość ta jest dotkliwym policzkiem, wymierzo-

nym całej inteligencyi prowincyonalnej, będącej siłą rzeczy jedyną podporą prasy miejscowej. Co do uspołecznienia więc, inteligencya łódzka wyjątku nie stanowi: wszędzie ta sama bezmyślność, ślepe i machinalne wykonywanie czynności obowiązkowych, związanych z fachem, a po za tem — apatya. Obojętność na sprawy ogólne, niepłacane gotówką, a przytem wprost już zupełny brak godności osobistej i grupowej.

Tę sprawę między innemi poruszył fejletonista *Kuryera Sosnowieckiego*, stawiając kwestyę, czy wogóle ludzie, którzy z pomocą społeczną wydobyli się na stanowiska pracowników inteligentnych, mają prawo nazywać się ludźmi honoru i pożytecznymi członkami społeczeństwa, jeśli poprzestają na pracy zarobkowej dla zadosyćuczynienia swoim jedynie potrzebom i odrzucają wszelkie obowiązki społeczne, byle nie narazić się zwierzchności lub pracodawcy? Czyż od t. zw. inteligencyi nie mamy prawa wymagać pewnej odwagi cywilnej? czyż lekarz lub inżynier może bez zarumienienia usprawiedliwiać swoją bezczynność społeczną obawą utraty miejsca? czyż nie bierze śmiech pusty, gdy patrzymy na te setki i tysiące ongi farysów nieladа, dziś niezdolnych porozumieć się i postawić swego zawodu na stopie wymagającej szacunku i rachowania się z ludźmi? Czyż zawsze pojęcie człowieka, wywyższającego się nad innych, będzie u nas złączone z postacią lizusa i ciasnego karyerowicza? — pyta fejletonista organu Zagłębia i ma słuszność chyba...

Przechodząc do sympatyczniejszych objawów życia prowincyonalnego, muszę zaznaczyć pewien ruch wśród ogółu płockiego w celu zbadania warunków bytu warstw biedniejszych. Próbą w tym kierunku było odczytanie na zebraniu Tow. lekarskiego referatu dr. Br. Golde o mieszkaniach w dzielnicy żydowskiej, za którym mają pójść i inne prace tego rodzaju, przyczem zaznacza myśl stworzenia towarzystwa budowy tanich mieszkań dla ludności robotniczej. A że wogóle ruch taki jest konieczny, przekonywa nas skarga korespondenta *Ech Płockich* z Włocławka na zupełny brak w tem mieście jakiejkolwiek nawet statystyki śmiertelności lub słabych choćby śladów poznania panujących tam stale epidemij.

W tymże samym Włocławku podobno potrzebną jest koniecznie czytelnia bezpłatna dla ogółu ludności biedniejszej. Głos jednak, wzywający do urzeczywistnienia tego projektu, pozostał samotnym. Szczęśliwszym cokolwiek był pod tym względem Sosnowiec, gdyż myśl założenia podobnej czytelni w tem mieście, rzucona w organie miejscowym, wywołała pewne starcie się zdań i oświadczenia gotowości do ofiar książkowych. Rzecz cała stanęła podobno ze względów formalnych. Życzyć by należało Zagłębiu, ażeby sprawa ta jak najszybciej weszła na drogę urzeczywistnienia. Ruch na polu zakładania czytelni bezpłatnych i wogóle w dziedzinie oświaty mas ludowych to kwestya pierwszorzędnej dla nas wagi; wszelkie objawy w tym kierunku skrzętnie notować będziemy.

Na zakończenie słów parę o zebraniach ogólnych wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, których czas obecnie przypada. Nic się nie zmieniło w tej dziedzinie. Czytając w organach prasy prowincyonalnej sprawozdania z zebrań, widzimy, z jaką stałością trzymamy się naszych tradycyjnych sposobów traktowania życia zbiorowego. Zebrania w pierwszym terminie dochodzą do skutku bardzo rzadko, można nawet twierdzić, wyjątkowo. W dalszych terminach zebrania, prawomocne bez względu na ilość obecnych członków, upływają wśród apatyi, nudy i niecierpliwego oczekiwania zakończenia „tortury." Sprawozdania szablonowe, bezbarwne, rozpraw brak, jednem słowem — martwota.

Nie, stanowczo zbyt wolno uczymy się żyć zbiorowo i niema, niestety, nadziei prędkiej pod tym względem poprawy.

J. Dąbrowski.

KONGRES MIĘDZYNARODOWY

W sprawie hygieny szkolnej.

W początkach zeszłego miesiąca odbył się w Norymberdze pierwszy kongres międzynarodowy, poświęcony sprawie fizycznego i umysłowego rozwoju młodzieży szkolnej. Już liczny, przekraczający liczbę tysiąc zastęp pedagogów, przedstawicieli rady szkolnej, lekarzy itd., jaki zjazd zgromadził, oraz mnogość kwestyj na nim wywołanych świadczą o tem, jak pożądanemi są tego rodzaju zjazdy, jak żywotną sprawa, będąca przedmiotem ich obrad. We wszystkich prawie krajach cywilizowanych początkowe choćby nauczanie jest przymusowem; większość młodzieży trawi na ławie szkolnej długie lata, rozstrzygające o jej zasobie sił fizycznych, umysłowych i moralnych na życie całe, pierwszym więc obowiązkiem szkoły, jest zapewnić bezpieczeństwo niezbędne dla zdrowia uczących się.

Inicyatorem kongresu był niemiecki związek powszechny dla ochrony hygieny szkolnej. Na kongresie znajdowali się przedstawiciele wszystkich cywilizowanych państw Europy; stawili się też do apelu i Japończycy, którzy nie zaniedbują żadnego europejskiego zjazdu naukowego. Polaków przybyło siedmiu z Królestwa 12 z Galicyi. Streścimy pokrótce najciekawsze tematy, roztrząsane na kongresie oraz wyniki obrad nad nimi. Profesor Cohn z Wrocławia, jeden z najstarszych szermierzy nowoczesnych, hygienicznych urządzeń szkolnych, okulista, maluje, w żywych i dosadnych barwach, zaprawionych często sarkazmem niebezpieczeństwo, na jakie narażony jest wzrok uczących się wskutek niedostatecznej hygieny szkolnej. Badania porównawcze wśród dzieci w szkołach i po za szkołą wykazały, że znaczny procent młodzieży nabawia się krótkowzroczności w szkole; większość dzieci wstępujących do niej ma wzrok zupełnie normalny, dziś zaś jeszcze, pomimo wszelkich dążeń do usunięcia zła, wśród studentów uniwersytetu wrocławskiego 40% cierpi na krótkowzroczność. Jest rzeczą dowiedzioną, wbrew twierdzeniom niektórych okulistów, że krótkowzroczność jest cechą niekoniecznie wrodzoną, że może być nabytą; nieodzownem przeto okazuje się uwzględnienie przez zarząd szkolny warunków nienarażających wzroku młodzieży. Do tych warunków należy przedewszystkiem należyte, pod kierunkiem lekarzy ustanowione, oświetlenie pokojów, czyste utrzymanie szyb okiennych, sporządzanie zasłon z tkanin i materyałów nieszkodliwych dla oczu. Dzięki dr. Favnerowi zwrócono uwagę na zagrażający wpływ dla wzroku ławek niehygienicznych. Dr. Schubert pierwszy począł badania nad pismem pochyłem i prostopadłem. Szczególny nacisk kładzie dr. Cohn na znaczenie druku, żądając, aby państwo zabraniało w szkołach książek, tłoczonych charakterem szkodliwym dla wzroku. Wreszcie domaga się zaprowadzenia we wszystkich szkołach stałej opieki lekarskiej okulistów. Według prof. Cohna na szkole ciąży tylko jedna połowa zadania, druga zaś na rodzicach, którzy powinni przestrzegać hygieny, a dla ich oświecania w tym względzie nawołuje do organizowania zebrań wieczornych. Prof. Erisman z Zurychu jest zdania, że najzdrowszem dla wzroku jest położenie okien na północ, północo-zachód lub północo-wschód, gdyż światło słoneczne nie jest wtedy zbyt silne.

Niezmiernie ciekawe były rozprawy na temat najwięcej palących kwestyj nauczania w szkołach średnich. Profesor Benda z Berlina prof. Szwend z Stuttgartu wnieśli mnóstwo projektów godnych największego poparcia. A więc należy zbierać szczegółowe i systematyczne dane statystyczne co do jakości i ilości uzdolnienia uczniów. Przedmioty, które pomimo starannego doboru wykładających, nie wzbudzają zainteresowania, powinny być z programu usunięte.

Wykłady należy ograniczać do wiadomości, mogących w dalszych studyach znaleźć zastosowanie. Wszelki balast, zwłaszcza pamięciowy, czysto mechaniczny, jest szkodliwy; systematyczna nauka religii w klasach wyższych zbyteczna. Liczba egzaminów powinna być sprowadzona do *minimum*, zaś egzaminy na patent dojrzałości usunięte. Wychowanie fizyczne należy równouprawnić z umysłowem i w tym celu znaczną ilość czasu spędzonego przez dzieci w szkole, zwłaszcza tam, gdzie istnieją zajęcia przedobiednie i poobiednie, poświęcić na gimnastykę i sporty. Aby niedziela była istotnym wypoczynkiem, uczniowie mają być zwolnieni od wszelkich zadań domowych na poniedziałek. Dla odrobienia zadań domowych, wymagających wiele czasu, jak np. wypracowania, trzeba przeznaczyć jeden dzień w środku tygodnia, wolny zupełnie od zajęć szkolnych; w niektórych państwach reforma ta jest już oddawna wprowadzona, we Francyi np. w czwartek zajęcia szkolne są zawieszone. W wyższych klasach należy zostawić uczniom, zwłaszcza tym, którzy mają zamiar oddać się studyom naukowym wprzyszłości, dowolny wybór przedmiotów wykładanych. Prof. Heinzmann wypowiedział wniosek, który znalazł duże uznanie wśród zgromadzonych, aby ilość przedmiotów wykładanych w ciągu dnia nie przekraczała sześciu; wykład każdy trwać powinien nie dłużej nad 45 minut. Czas poobiedni ma być poświęcony zajęciom fizycznym i odrabianiu zadań na dzień następny. Szczegółowo dyskutowano nad wielce ciekawą kwestya szkół pomocniczych dla dzieci słabiej pod względem umysłowym uposażonych. Doktór Sickingen z Mannheimu, powołując się na doświadczenia pedagogów berlińskich, zastanawiał się nad organizacyą szkół ludowych, opartych na szerokiem uwzględnieniu wrodzonych dzieciom zdolności. Statystyka berlińska wykazuje, że za czasów sześcioletniego kursu szkoły ludowej 61%, od chwili wprowadzenia ośmioletniego kursu, tylko 10% uczniów kończy ostatnią klasę, 41% występuje z przedostatniej, reszta wcześniej. Za jeden z głównych powodów tego zjawiska należy uważać nieuwzględnianie różnych stopni uzdolnienia dzieci. Powinno się ustanowić co najmniej 3 grupy: zdolnych, mniej zdolnych, bardzo słabo zdolnych. Dla upośledzonych umysłowo, czyli ostatniej kategoryi, istnieją już teraz specyalne zakłady naukowe; podział na zdolności należy jednak znacznie rozszerzyć, jak to ostatnio uczyniono w Mannheim. Klasy t. zw. „odrębne" (Sonderklassen) dla mniej zdolnych polegają na powtarzaniu kursu w pierwszych latach nauki, uwzględnieniu trudniejszych przedmiotów w klasach wyższych. Rezultaty systemu, zaprowadzonego w Mannheim, przedstawiają się bardzo pomyślnie. Powszechne uznanie zyskały słowa prof. Bendy, że dopóki brak wyższego wykształcenia będzie uważany za pewnego rodzaju poniżenie w stanowisku społecznem, wstęp do wyższych zakładów naukowych należy udo-

stępnić i mniej zdolnym. Środkiem prowadzącym do celu jest utworzenie dla tej kategoryi uczniów odrębnych szkół średnich, z specyalnie w tym kierunku wykształconymi pedagogami, z odpowiednio przystosowanymi środkami i programem nauczania. Większość zgromadzonych wypowiedziała się za utworzeniem nie klas odrębnych obok normalnych w tej samej szkole, lecz oddzielnych zakładów naukowych, opierając się na doświadczeniu, ze uczniowie rzeczywiście niezdolni nie będą mogli do końca kursu szkół średnich dogonić zdolnych swych towarzyszów, wyjąwszy chyba dzieci normalne, tylko źle uczone i rozwija ne przed wstąpieniem do szkoły, tych umieszczenie w szkole odrębnej byłoby w każdym razie omyłką. Frenzel proponuje, przymusowe umieszczenie dzieci mniej zdolnych w szkołach odrębnych, tj. niezależne od rodziców, lecz od rady pedagogicznej.

(D. n.)

E. Sokolnicka.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Jak było.

Nowy (od 1 maja) rozkład jazdy tutejszych dróg żelaznych nie przyniósł nam wcale niespodzianek, gdyż nawet utrzymaniem godzin odejścia pociągów z Warszawy na linii Mławskiej potwierdzono tylko znany fakt, że na skargi publiczności zarządy kolejowe nie zwracają żadnej uwagi. Jak wiadomo, przed rokiem kolej Nadwiślanska wprowadziła na tej drodze niepojęty rozkład, wysyłając jeden pociąg rano, a drugi po północy. Skutkiem tego mieszkańcy, wsiadający na stacyach od Nasielska do Mławy, chociaż oddaleni od Warszawy zaledwie o dwie godziny, dla przybycia do niej, załatwienia drobnych spraw i powrotu potrzebują *dwu nocy i jednego dnia*. Ile skarg, złorzeczeń i przekleństw wywołała ta „reforma,“ łatwo odgadnąć. Zdawało się, że ona dowlecze się do terminu i spocznie w archiwum niefortunnych pomysłów komunikacyjnych. Tymczasem — pozostawiono ją nadal. Naturalnie interesowanym nie pozostaje nic innego, jak wnieść skargę do ministeryum, uzasadniwszy ją także i tem, że podróż dorożką z Warszawy do dworca Nadwiślańskiego o północy jest przeprawą bardzo ryzykowną.

Potrzebny przymus.

Pomimo reklam, zamieszczanych w prasie dla bohaterów, którzy w golarniach, izbach felczerskich i gabinetach dentystycznych dezinfekują swoje narzędzia, niewielu znajduje się amatorów takiego porządku i takiej sławy. Dziś trochę czyściej na podłodze, ścianach i sprzętach, niż dawniej, więcej zawieszono luster i naklejono złoconego papieru, ale w gruncie rzeczy rękojmia bezpieczeństwa pozostała ta sama — to jest — żadna. Bo, równie jak przed pół wiekiem, nie mamy najmniejszej pewności, że fryzyer nie goli nas brzytwą, której dopiero co używał do twarzy egzematyka—lub że dentysta nie wkłada nam do ust kleszczy, któremi wyjął ząb syfilitykowi. Ani te brzytwy, ani te kleszcze, balnieczniki, nożyczki, grzebienie — nie podlegają żadnej dezinfekcyi, przesuwając się kolejno po ludziach zdrowych i zaraźliwie chorych, a tylko szczęśliwemu trafowi zawdzięczać należy, jeśli one nie sprowadzają strasznych zakażeń. Z badań Pasteura i Listera, z odkryć bakteryologii wyciągnięto już wiele praktycznych wniosków, którym nadano moc obowiązującą: chirurg, który przy operacyi nie zachował warunków antiseptyki, idzie (w Niemczech) do więzienia. Dlaczegóż taką ryzykowną a często karygodnę swobodę pozostawiono felczerom, fryzyerom i dentystom, którym przechodzą przez ręce tłumy ludzi? Nam się zdaje, że zamiast tę ważną sprawę załatwiać wzmiankami dziennikarskiemi, sławiącemi wyjątki, należałoby zobowiązać wszystkich pod surową odpowiedzialnością do niezbędnych ostrożności, a przede wszystkiem do ciągłego utrzymywania narzędzi w jakimś środku dezinfekcyjnym.

Rada.

Musimy przyznać, że p. H. St. Pytliński w występie przeciwko *Prawdzie* dość wprawnie odegrał rolę typowego dziennikarza warszawskiego: był bez powodu i prawa impertynenckim i zbyt mądrym, ażeby mógł być dla nas dość zrozumiałym. Przed paru tygodniami wzmiankując o jego korespondencyi z Konstantynopola w *Gazecie Polskiej*, nazwaliśmy mdłym sentymentalizmem żądanie zakupienia domu, stojącego na miejscu spalonego, w którym umarł Mickiewicz, a o którym pamięć zachowuje tylko *późniejsza*, w *nowym* wmurowana tablica. Uwaga nasza srodze obraziła p. H. Pytlińskiego. Karci on nas za „nieznajomość sprawy,“ za „nieuważne czytanie jego artykułu,“ z którego mogliśmy byli wydobyć nieprzeczuwane skarby wiedzy, za „płodzenie lichych konceptów,“ za „robienie od wiersza,“ za „tendencyjne przekręcanie“ jego słów, przyczem traci nadzieję należytego wytłomaczenia nam rzeczy, która w naszym ciasnym umyśle się nie mieści i naszego glinianego serca nie rozgrzewa. Wszystko to zaś — powtarzamy — dotyczy skromnej korespondencyjki i ma być sprostowaniem całego szeregu jakoby popełnionych przez nas błędów, nieprostującem niczego oprócz daty wmurowania tablicy (r. 1883 zamiast 1900). Zaiste, nie spodziewamy się, ażeby literatura, a nawet publicystyka kiedykolwiek doczekała się ze strony p. Pytlińskiego wielkiej pociechy; namawiamy go jednak usilnie, ażeby pisywał i występował z projektami zakupu domów pamiątkowych częściej. Rada zaś nasza nie wypływa z nadziei, że ktoś od nas inteligentniejszy zaraz, a my po dłuższych studyach zdołamy kiedyś zrozumieć jego artykuły, lecz z przypuszczenia, że p. H. St. Pytliński sam w końcu oswoi się z ich wielkością, nie będzie ich uważał ani za kawałki Apokalipsy, ani za rozdziały metafizyki, lecz za zwyczajne wypracowania, w których każdy łatwo dostrzeże sens lub bezsens. A ponieważ ma wstręt do „robienia od wiersza, niech „robi“ od tonny lub hektara.

Biedacy.

Dyrekcya tutejszego Towarzystwa wyścigów konnych zwróciła się do głównego Zarządu stadnin, ażeby ten zmniejszył jej ciężar 5% podatku od totalizatora na rzecz szpitali warszawskich. Podanie to przesłano warsz. Radzie dobroczynności publicznej, która uznała: że wprawdzie Towarzystwo wyścigów konnych składa się z rzeczywistych biedaków, zasługujących na pomoc ze strony domku gry na polu Mokotowskiem, ale że szpitale są jeszcze biedniejsze i pobieranego zasiłku z nieczystego źródła wyrzec się nie mogą. W tem smutnem położeniu niema innej rady, tylko żeby „gentlemanowie,“ zwłaszcza ci, którzy zastawiają w lombardach zimowe ubrania na letnią grę w totalizatora, „obstawiali“ konie liczniej i tym sposobem wyrównali Towarzystwu szczerbę.

Wyszukiwanie pracy.

Kuryer Warsz., omawiając statystykę wydziału wyszukiwania pracy przy warsz. Tow. dobr., podaje projekt, mający być „zwiastunem nowej epoki pomyślnego rozwoju etycznego i społecznego“ dla naszej ludności miejskiej. Idzie o to, aby „włóczęgów młodocianych“ zatrudnić na roli, „zdala od demoralizujących wpływów miasta.“ Czy rzeczywiście środek ten zawiera w sobie ów czynnik umoralniający? Samo określenie „zatrudnienie na łonie natury“ jest mgliste i niejasne. Prawdopodobnie obywatele, najmujący „młodzież miejską“ do robót rolnych, nie będą uważać ich za pupilów, lecz za ręce robocze. Na wsi chyba nie brak ludzi, potrzebujących pracy; owi przybysze mogą tylko wpłynąć na obniżenie płacy i tak już nizkiej i niewystarczającej na skromne utrzymanie. Następnie, co taki „umoralniony, młody włóczęga“ ma z sobą robić, skoro powróci z łona natury? Wykształcenie umysłowe i jakiś fach w ręku lepiej by mu się przydały, niż ciężka praca od świtu do nocy, choć nawet na czystem powietrzu.

W statystyce podanej przez *Kur. War.* uderza ostrożność w polecaniu poszukujących zajęcia. Na zapotrzebowanie 1,144 ludzi z ogólnej sumy 1,431 kandydatów umieszczono tylko 715, czyli połowę. Słusznem poniekąd jest twierdzenie o konieczności zaufania pracodawców, lecz z drugiej strony najbardziej potrzebują zajęcia ludzie, którzy nie są w stanie przedstawić rękojmi w postaci świadectw, poleceń itp. Prawie pewien jestem, że tacy właśnie stanowią znaczną większość zgłaszających się o miejsce.

Ogólnie biorąc, wydział wyszukiwania pracy podjął zadanie wielce wdzięczne, lecz zarazem i nadzwyczaj trudne. Podkreśla on, że pośrednictwo jego ma na celu korzyść stron obu, nie zaś wyzysk którejkolwiek z nich. Jednak czy nie należałoby zwrócić na to uwagi, że położenie nie jest równe. Pracodawca nigdy zbytniej straty nie poniesie, bo skoro pracownik nie odpowie jego wymaganiom, to go oddali i znajdzie innego; pracobiorca zaś, skrępowany brakiem zajęcia, częściej może być krzywdzonym i wyzyskiwanym.

Upiększanie języka.

Od pewnego czasu w prasie naszej daje się zauważyć szczególny objaw w formie zewnętrznej artykułów: coraz częściej spotykamy się z wykrzywieniem i przesadą języka, dziwacznemi—ni przypiął ni przyłatał — porównaniami i przenośniami, mającemi świadczyć o pomysłowości wyobraźni i malowniczości stylu, a w gruncie rzeczy dowodzącemi tylko niedołęstwa „językowego“ i braku poczucia śmieszności.

Każdy prawdziwy artysta wnosi swą cząstkę do ogólnej skarbnicy językowej; zwrócił na to niedawno uwagę taki doskonały znawca przedmiotu, jak prof. Brückner. Lecz po za tymi literatami, którzy obok własnej treści mają i własną formę zewnętrzną, stoi nieskończenie większy zastęp ludzi, niekiedy nawet zdolnych i wykształconych, lecz zupełnie pozbawionych artyzmu. Ci, nie umiejąc korzystać z materyału, jaki mają w ręku, zamiast prawdziwej sztuki dają nam sztuczność: obok najbanalniejszych zwrotów najdziwaczniejszy patos, najzabawniejsze rozrzewnienie, najbardziej kulawą lotność. Jeden pisze: „Ks. Perosi odznacza się wielkim temperamentem i pełnymi dramatycznego wyrazu ruchami, stylizowanymi z obrazów świętych Botticellego i prerafaelitów.“ W Warszawie tak mało wiedzą o tych obrazach, że przeciętny czytelnik

uwierzy w ruchy dramatyczne, stylizowane podług tych dzieł malarstwa. Drugi wykrzykuje: „u drzwi mego domu wyrósł świerk, którego gałązki ciemniejsze są od nocy. O Jeruzalem, nakryj głowę worem i siądź na piasku.“ Takie nonsensy powtarzają się stale z wielką szkodą dla kultury językowej i poczucia smaku ogólnego.

Chłopcy w cukierniach.

Jedno z pism codziennych przypomniało położenie młodych chłopców, usługujących w cukierniach. Zdawało się, że zwyczaj ten został usunięty, i rzeczywiście w pierwszorzędnych zakładach uczniów cukierniczych, usługujących gościom, zastąpiła służba dorosła. Lecz obecnie małoletni poczynają znów wracać na dawne stanowiska. Jeśli służba dla dorosłego jest jednem z najcięższych i najprzykrzejszych zajęć, to tem bardziej dla dzieci. Branie napiwków, zaskarbianie sobie przychylności lwów i lwic kawiarnianych (najnowszy typ warszawski) prawdopodobnie niezbyt sprzyja rozwojowi poczucia godności osobistej w młodych duszach. Tu jednak potykamy się o fakt, że, nie mając żadnych środków utrzymania, chłopcy uganiają się za taką posadą. I wchodzimy w błędne koło, z którego wyjść trudno. Z jednej strony — tak pierwszorzędna w dniu dzisiejszym kwestya bytu, z drugiej — pewne pożądanie społeczno-etyczne. Jedno zbija drugie i usuwa na stronę. Co pomogą nawet szczere utyskiwania pism i najgłębiej odczute potrzeby społeczeństwa, jeżeli warunki życia codziennego wyrzucać będą na bruk miejski liczne szeregi dzieci bez chleba i utrzymania? One muszą służyć, a że w służbie paczą się ich dusze, że stają się biernym, służalczym tłumem, patrzącym na ręce gości, to czyż można temu zapobiedz? Życie współczesne jest twarde i gorzko się śmieje z humanitarnych zachcianek, które połowiczne i bujające w mglistej atmosferze współczucia, westchnień, pozostają tylko.... bańką mydlaną. Przypuśćmy nawet (co w Warszawie jest niemożliwe), że właściciel kawiarni na miejsce chłopców wprowadzi służbę dorosłą. Czy to zabezpieczy te dzieci od twardych uderzeń ręki życia?..

W ten sposób uczucie powstałe z pobudek najzacniejszych oburzenia na widok scen, o których mowa w owej wzmiance, nabiera cech niesmacznej nieszczerości i deklamatorskiej pozy. Z drugiej strony — czyż dlatego, że jesteśmy bezradni, wolno nam patrzeć biernie na ucisk losu, przygniatającego dziś tysiące istot ludzkich? W głębi naszego własnego *ja* znajdziemy odpowiedź na to pytanie. Z uczuć podobnych tym należy wytknąć sobie drogę na całe życie i, ogarniając najszersze horyzonty nietylko uczuciem, lecz i umysłem, dążyć wytrwale i z uporem człowieka wierzącego do przekształcenia tak ludzkiej duszy, jak i zewnętrznych, najdrobniejszych warunków, w których młode dusze istnieć mają.

BADANIA NAUKOWE.

Samuel Smiles.

Są książki, które każdy zna, choć nie [illegible] zawierają nic nowego; streszczają one w sobie tylko życie wewnętrzne, codzienne i dlatego ściśle są związane z pewną epoką. Do takich „symbolów“ swego czasu należą niegdyś słynne a dziś zapomniane dziełka niedawno zmarłego S. Smiles'a. Człowiek ten, to postać z ubiegłej przeszłości; w ostatnich latach zapomniano o nim zupełnie, a był czas, kiedy imię jego znajdowało się na wszystkich ustach. Od chwili gdy dydaktyczne jego książki poszukiwane były przez czytelników, świat się posunął tak znacznie naprzód, że dziwnem się wydaje, iż Smiles mógł żyć jeszcze w 1904 r.

Smiles urodził się w Haddington w Szkocyi. Studyował nasamprzód medycynę, został lekarzem; lecz wkrótce po rozpoczęciu praktyki zarzucił ją i objął redakcyę gazety *Leeds Times*; jednocześnie z działalnością literacką sprawował on w latach 1845—1860 urząd sekretarza kilku dróg żelaznych. Od 1860 r. zamieszkał jako człowiek prywatny w Londynie. Wydał on wiele książek przeważnie treści społeczno-pouczającej. Do główniejszych należą: „Physical education“ (wychowanie fizyczne) (1838), „Railway property“ (1849), „Selfhelp“ (1860, tłomaczone na wszystkie języki, na polski — przekład redakcyi *Przeglądu Tygodniowego* w 1867, wyd. 2, 1871 r.), „Workmen's earnings, strikes and wages“ (1881), „Lives of engineers“ (1862), „Industrial biography“ (1863), „Life of G. Stephenson (1864, wyd. 6), „The character“ (1866), „The Huguenots, their settlements in England and Ireland,“ „Men of invention and industry (1884) i wiele innych. Po polsku oprócz „Samopomocy“ wyszło „O charakterze“ (w przekładzie Lubowskiego i w przekładzie Przyborowskiego 1873 r.), „Oszczędność“ (1876), „Obowiązek“ (1881 przekł. Dygasińskiego), „Życie i praca, czyli życiorysy sławnych ludzi“ (przekład Dygasińskiego 1888).

W dobie popularności Smiles'a rozbrzmiewały hasła samopomocy, wyprowadzone z teoryi ekonomicznej Adama Smitha. Z zasady wolności handlu wyłoniła się niezbędność energii osobistej, potrzebnej do wytrzymania bezwzględnej walki konkurencyjnej, do zdobywania sobie bytu drogą pracy i przedsiębiorczości własnej. U nas najbardziej popularne były traktaty o samopomocy i o charakterze. W latach siedmdziesiątych, okresie tak ważnym w dziejach kultury naszej, Smiles był powagą i autorytetem. Kierunek jego nauki ściśle odpowiadał zadaniu, jakie człowiekowi stawiali ówcześni postępowcy z *Przeglądu Tygodniowego*; nie uważali go oni jednak za wielkiego uczonego. Ciekawym jest pod tym względem dopisek redakcyi do pomieszczonego w nr. 33 z r. 1872 tłomaczenie początku pracy „O cnocie“: „Podajemy w skróceniu pierwszy rozdział dzieła znakomitego angielskiego moralisty p. t. „Cnota“ nie dla naukowej jego wartości, ale dla doniosłości praktycznej, polegającej na trafnem i zajmującem spopularyzowaniu prawd etycznych.“

O wziętości książek Smiles'a u nas świadczy najlepiej fakt, że wydawnictwo (2 edycya) pierwszej części „Samopomocy“ rozeszło się w ciągu 1871 w 1,500 egzemplarzach. W czasie pojawienia się przekładów Smiles'a prasa polska wiele się nim zajmowała. „Self help, mówi recenzent *Biblioteki Warszawskiej*, bez przesady nazwać można kodeksem moralności. Znajdujemy tam na każdej karcie głęboką naukę życia i warunków, zapewniających szczęście jednostkom i społeczeństwu.“ „Jest to katechizm, mówi sprawozdawca *Przeglądu Tygodniowego*, dla ludzi myślących przeznaczony, który kojąc boleści życia, budzi wiarę i ufność w siłę człowieka, w niezgłębione skarby rozumu ludzkiego. Wszystko to, do czego człowiek myślący i zastanawiający się nad sobą i czynami swymi dochodzi na drodze ciężkich, czasami bardzo smutnych doświadczeń, wszystko cokolwiek zdobył pracą swego ducha i rozważeniem tajemnych sprężyn swej woli i działalności, i co zdawało mu się, że jest jedyną, dla niego tylko wyrytą prawdą — wszystko to znajdzie wyjaśnione w dziele zacnego, angielskiego pisarza, przedstawione sposobem tak jasnym, trafnym, przekonywającym, że po zamknięciu ostatniej stronicy czuje się czytelnik bogatym w doświadczenie lat kilkunastu i przejętym niezłomną wolą odmienienia trybu swego postępowania, jeżeli ono jest sprzecznem z zasadami, jakiemi, słuchając rad Smiles'a, przejął się i zbogacił.“ Te cytaty nieco może przydługie, najlepiej wyjaśniają stosunek ogółu naszego z tamtych lat do książek angielskiego moralisty; widać z nich, jak ważne znaczenie ludzie wykształceni przypisywali wskazówkom jego. I wtedy istniały szersze poglądy na kwestye społeczne, biorące pod uwagę fakt ten, że niezawsze uczciwość i praca przezwyciężają wszystko, co jest kamieniem węgielnym nauki Smiles'a. Głosy tych poglądów prawie że nie dochodziły do naszego społeczeństwa. U nas pod wrażeniem smutnego doświadczenia powstał prąd tak zwanej pracy organicznej, dążący do podniesienia stanu ekonomicznego kraju. Równolegle z tem rozpoczęło się przekształcanie dawnego ustroju ekonomicznego na nowy— kapitalistyczny. Etyka Smiles'a to etyka nowopowstającej burżuazyi liberalnej w dodatniem słowa tego znaczeniu; dlatego książki jego stały się źródłem mądrości życiowej całego pokolenia. Nieprzewidziane są w nich konsekwencye dalsze, które bieg czasu przyniósł; to co zawierają dalekie jest od egoizmu ciasnego i dążenia do wyzysku.

Życie popłynęło dalej. Zasady głoszone przez Smiles'a zestarzały się i zostały zapomniane. Żyją one tylko w pamięci ludzi starszych, jako wspomnienie fali, która, rosnąc, przybrała inną postać i przyniosła nowe, głębsze i doskonalsze hasło życiowe.

Zb. Br.

Władysław Folkierski.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 24 kwietnia zmarł w Zakopanem jeden z najznakomitszych matematyków polskich. Jak wielu z tych, którymi chlubić się możemy, cały, najowocniejszy okres swego życia spędził on po za granicami kraju, służąc obcym wiedzą swą i pracą. Wł. Folkierski urodził się w Warszawie w r. 1842; tu skończył gimnazyum z odznaczeniem, potem studyował w szkole politechnicznej w Karlsruhe i w szkole dróg i mostów w Paryżu. Wojna 1870 r. przerwała jego studya. Jako ochotnik wstąpił Folkierski do wojska francuskiego i odbył całą kampanię. Po wojnie, odznaczony legią honorową, powrócił do pracy naukowej. Zostawszy sekretarzem a następnie wiceprezesem polskiego Towarzystwa nauk ścisłych, redagował *Pamiętnik*, w którym przez pewien czas skupiał się cały ruch naukowy, polski na polu matematyki.

W 1874 r. wezwany przez rząd peruwiański, wyjechał do Peru. Tu zajął wkrótce wybitne stanowisko, budując koleje, prowadząc wykłady teoretyczne w uniwersytecie w Limie, gdzie w r. 1888 został mianowany dziekanem wydziału matematyczno-fizycznego.

W r. 1889 powrócił jednak do Europy i osiadł w Galicyi, a po ukończeniu kolei zakopiańskiej zamieszkał na stałe w Zakopanem.

Jako pisarz zostawił kilka dzieł naukowych, z których najznakomitszem jest: „Rachunek różniczkowy i całkowy“ (2 t., 1873—74). Po powrocie do kraju wydał między innemi: „Stanowisko mechaniki w dziedzinie wiedzy ludzkiej“ (1893 r.), „O wodociągach i kanalizacyi miast“ (1897) i inne.

LITERATURA I SZTUKA.

Ostatnie dzieła Chmielowskiego.

(Dokończenie).

Doprowadziwszy wykład „Dziejów krytyki literackiej w Polsce“ do czasów najnowszych, autor rozważa jeszcze na stu przeszło stronach, tworzących dodatek osobny, poglądy wybitniejszych krytyków i twórców naszych na powieść i dramat, dwa najpospolitsze kształty literackie w XIX wieku. Począwszy od Krasickiego, który potępił ostro współczesne sobie romanse, gdzie z „jawnem bluźnierstwem“ mieścić się miała „bezczelna rozwiązłość,“ w sądach tych udrzają wahania duże. Do stanowczych przeciwników powieści między innymi należał Jan Śniadecki. „Patrzałem nieraz — mówi on we wstępie do rozbioru „Malwiny“ — na okropne skutki lekcyj romansowych: na choroby nerwowe, na stępioną ustawicznem drażnieniem tkliwość serca, na wygórowaną w imaginacyi czułość, na niestateczność i dziwactwo humoru, na nudy życia w świecie rzetelnym, gdzie trudno spotkać romansowych bohaterów, zgoła na ruinę zdrowia, rozsądku i pokoju duszy.“ Lecz już w r. 1818 w *Ćwiczeniach naukowych* znalazła się obszerna rozprawa „O romansach,“ w której bezimienny autor występuje w obronie potępionego tak surowo rodzaju twórczości, żądając przytem, aby powieść była „rzetelnym obrazem towarzystwa ludzi, bo więcej im prawda dodaje powagi i mocy, aniżeli zmyślenie — wdzięku i przyjemności.“ W trzydzieści lat później Józef Korzeniowski nie cofnął się przed twierdzeniem, że, prócz dramatu i powieści, wszystkie inne rodzaje poetyckie zaginęły na zawsze i powrócić już nie mogą, a na skargę Kraszewskiego, nawołującego do wynalezienia formy nowej, odpowiedział wierszem, drukowanym w *Gazecie Warszawskiej* w r. 1854, rozwijając w nim myśl, że nietyle o formę, ile o treść świeżą chodzić powinno, bo „każda forma jest dobra, gdy życiem natchnięta,“ więc pod frakiem i siermięgą malować trzeba — człowieka.

Względne ubóstwo literatury naszej w szóstem dziesięcioleciu ubiegłego wieku wywołało znów reakcyę przeciw nadmiernemu rozrostowi powieści ze strony takich krytyków, jak Siemieński i Klaczko, którzy przewadze tej formy twórczości przypisywali właśnie upadek poezyi prawdziwej. Doba obecna przekonała, że obok powieści rozwijać się mogą i kwitnąć zarówno liryka, jak dramat, a dzięki całemu szeregowi znakomitych artystów w potępianej tak surowo dziedzinie, nikt już nie występuje zasadniczo przeciwko rodzajowi literackiemu, który pochlubić się może „Trylogią,“ „Faraonem,“ „Nad Niemnem,“ „Ludźmi bezdomnymi,“ „Próchnem,“ „Popiołami“ i „Chłopami,“ niemniej jednak niektóre z przytoczonych przez Chmielowskiego uwag autora „Rzymu i Odrodzenia“ zachowały i obecnie znaczenie. „Coraz mniej widzimy mistrzów słowa — czytamy np. w głośnej w swoim czasie krytyce „Krewnych“ Korzeniowskiego — a coraz więcej pisarzy, coraz mniej arcydzieł, a coraz większy ruch literacki. Artyści, poeci nie tworzą teraz w zaciszy natchnienia dla umysłów wybranych, sympatycznych, dla tych, z którymi ich łączy spółka ducha i uczucia. I oni przedewszystkiem masy mają na widoku; masy narzucają im swoje warunki, swoje zachcenia, swoje potrzeby, z których największą, a bodaj najfatalniejszą jest potrzeba ciągłego spożywania pokarmu, choćby najmniej zdrowego..:“

W dalszym ciągu Chmielowski zajmuje się jeszcze poglądami na powieść realistyczną i psychologiczną. Nie mając nic przeciw pogłębieniu treści, nawet z pominięciem zewnętrznej strony życia, z całą słusznością żąda on jednak od autorów, aby sami mieli dusze bogate i silne i z nich dopiero wydobywali dla ogółu skarby uczuć i myśli, „bo zwierzenia duszyczki małej i niezasobnej mogą zainteresować tylko najbliższych, niewybrednych powierników.“ Wielki talent (autor wymienia tu Żeromskiego) potrafi silnie wstrząsnąć nietylko nerwami, ale i sercami. Pośrednio rozstrzygnięta tu została i sporna do ostatnich czasów kwestya zadań i znaczenia sztuki. Z wywodów Chmielowskiego daje się wyprowadzić pogląd, według mnie racyonalny jedynie: niech artyści korzystają w swych dziełach ze swobody zupełnej, niech obca im będzie tendencya wszelka, niech tworzą dla samej rozkoszy tworzenia, ale niech będą przedewszystkiem ludźmi prawdziwymi, rozwiniętymi uczuciowo i moralnie, wrażliwymi na cierpienia innych i kochającymi gorąco ogół, do którego należą.

Dzieło kończy obszerna i ciekawa rozprawa p. t. „Poglądy na dramat,“ gdzie autor rozważył szczegółowo główne teorye, które u nas panowały w dziedzinie twórczości dramatycznej od czasów Kochanowskiego i Szymonowicza aż do chwili obecnej. Poezya dramatyczna wywołała u nas daleko więcej rozpraw i studyów, niż powieść, więc najogólniej nawet streszczać ich tu nie możemy, poprzestając jedynie na zaznaczeniu dużego wpływu, jaki na nas wywierali w różnych dobach teoretycy i twórcy obcy, począwszy od Horacego i Arystotelesa aż do Maeterlincka. Stosunkowo wcześnie zapoznaliśmy się z odczytami Augusta Wilhelma Schlegla o literaturze dramatycznej, oraz z „Dramaturgią hamburską“ Lessinga, więc też już Franciszek Wężyk ośmielił się wystąpić przeciw niektórym krańcowościom pseudo-klasycznym, a Brodziński w swych wykładach uniwersyteckich rozwodzi się szeroko nad Shakespear em i jest jego wielbicielem stanowczym. Wydane w roku 1849 obszerne dzieło Gervinusa wpłynęło silnie i na naszą literaturę krytyczną, wywołując szereg rozpraw o wielkim dramaturgu angielskim, których koronę stanowi piękna praca Matlakowskiego o „Hamlecie.“ W ostatnich czasach zainteresowano się nawet odległemi od nas literaturami, pisząc kilkakrotnie o dramacie indyjskim, o dramacie japońskim i chińskim. Sam Chmielowski występuje ostro przeciw niektórym jednostronnym teoryjkom czasów najnowszych, mniemając słusznie, że nie przez odcinanie i wykluczanie, lecz przeciwnie przez umiejętne wchłanianie i harmonizowanie najsprzeczniejszych czynników rozrasta się i potężnieje każda twórczość, a więc i dramatyczna. „Jeżeli dzisiaj — kończy swą pracę autor — dają się słyszeć głosy przeciwne — to są one tylko wyrazem chwilowej reakcyi przeciw jednostronności naturalistycznej i muszą z czasem ustąpić miejsca uogólnieniom rozleglejszym, obejmującym zarówno realne, jak idealne, zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne pierwiastki, dążące przez natężoną kolizyę do wytworzenia harmonijnej, artystycznej całości: dramatu nie materyalnego czy psychologicznego wyłącznie, lecz dramatu życia w całej jego wspaniałej, wesołej czy groźnej pełni.“

Pobieżnie już tylko zatrzymać się możemy nad ostatniem większem dziełem Chmielowskiego, którem jest „Stylistyka polska wraz z nauką kompozycyi pisarskiej.“ Książka ta uzupełnia znakomicie wartościową „Teoryę poezyi polskiej“ A. G. Bema, a i sama przez się, jako wynik długoletniego doświadczenia badacza, który, jak trafnie zaznacza Ign. Chrzanowski, przestudyował i ocenił najwybitniejsze utwory literatury staropolskiej oraz *niemal całą* naszą produkcyę literacką od połowy XVIII wieku aż do chwili bieżącej, stanowi nabytek cenny i pożądany.

Talent pisarski jest darem wrodzonym, którego najlepsza teorya nie da i nie zastąpi. Zgłębianie dzieł stylistycznych nikogo jeszcze samo przez się nie zrobiło dobrym stylistą; nauka kompozycyi nie zastąpi zdolności twórczych. Stwierdził to zresztą przykładem własnym sam Chmielowski, który, choć znał wybornie wszystkie arkana sztuki pisarskiej, do stylistów świetnych nie należał nigdy. Niemniej jednak, wobec powszechnej u nas niedbałości o zewnętrzną stronę wysłowienia, wobec potwornych błędów językowych, przepełniających nietylko łamy dzienników, lecz nawet książki, należące rzekomo do tak zwanej literatury pięknej, dzieło Chmielowskiego, przeznaczone zarówno dla literatów i pedagogów, jak i dla wykształconego ogółu, może okazać się nader pożytecznem i niejednego zachęci do pewnej pracy nad sobą i większej baczności na zewnętrzną szatę swych myśli. Było ono tem potrzebniejsze, że od czasów Kudasiewicza i Rymarkiewicza, a więc od lat przeszło trzydziestu pięciu, nie mieliśmy w tym zakresie ani jednej pracy poważniejszej, ani jednej pracy wogóle, jeśli nie brać w rachubę kilku podręczników szkolnych, które się ukazały w latach ostatnich.

Pracę swoją podzielił autor na trzy części, poświęcając pierwszą z nich ogólnym przymiotom wysłowienia (poprawność, czystość, właściwość, zwięzłość, jasność, postaci krasomówcze, przenośnie, wdzięk, siła, dowcip, ironia, żywość itd.), oraz rodzajom stylu; drugą — pierwiastkom utworów pisarskich wraz z licznymi przykładami opowiadania, opisu, charakterystyki, rozumowania, porównania i in.; trzecią wreszcie — rodzajom prozy i poszczególnym jej kształtom. W części drugiej zasługują zwłaszcza na uwagę ustępy, poświęcone rozważaniu zasobu duchowego pisarza i sposobów jego zwiększenia. Część trzecia zastanawia się kolejno nad utworami prozy opisowo-opowiadającej od klechdy i legendy do noweli i powieści; nad dziełami, odtwarzającemi przeszłość (roczniki, pamiętniki, biografie itp. aż do krytycznej historyi narodu) i spółczesność (opisy podróży, geografia, historya naturalna itd.). Ostatnie rozdziały wreszcie zawierają rozbiór poszczególnych kształtów prozy nauczającej i zniewalającej, czyli oratorskiej, podzielonej jeszcze na przemowy do osób nieobecnych (listy, odezwy, memoryały, prośby, fejletony itp.) i przemowy do osób obecnych, jako to powinszowania, mowy przygodne, wymowę naradną, sądową i kaznodziejską.

Nie brakuje, słowem, w tem dziele ani jednego rodzaju prozy, a wyczerpujący ten wykład, urozmaicony mnóstwem ciekawych przykładów, wzbogacają cenne uwagi autora, oparte na jego doświadczeniu obfitem i gruntownej wiedzy. Tak np. w rozdziale o powieści otrzymujemy zarazem krytyczny zarys jej rozwoju u nas; proza nauczająca daje autorowi sposobność do wartościowych wskazówek, dotyczących podziału nauk; ustępy, poświęcone prozie historycznej, uzupełnione zostały szeregiem uwag, mogących znakomicie ułatwić początkującym historykom badania nad przeszłością. Cała książka to cenna puścizna ostatnia po pisarzu, który, wzbogaciwszy pracę badawczą nad literaturą ojczystą tylu pierwszorzędnemi dziełami, do ostatniej chwili nie przestawał karmić umiłowanego ogółu zdrowemi i pożywnemi ziarnami, stanowiącemi plon najpiękniejszy jego zasłużonego żywota.

Wł. Bukowiński.

Z muzyki.

Sąd ostateczny, Boże Narodzenie i *Zmartwychwstanie Pańskie*, oratorya ks. W. Perosi'ego. — *Chopin*, opera J. Oreficego, osnuta na melodyach Fryderyka Chopina.

Ksiądz Wawrzyniec Perosi komponuje dużo i prędko. Jego fantazya twórcza pobudza się łatwo do czynu, a przybranie pomysłów inwencyjnych w formy konkretne, właściwe sztuce kompozycyi muzycznej, przychodzi mu również z łatwością. Poznajemy to po zaletach jego muzyki, niemniej jak po jej wodach.

Ksiądz Perosi, którego talentu wybitnego nikt nie podaje juz w wątpliwość, ulega zbyt często, bo niemal stale, sile rozpędzonej swego bujnego, południowego temperamentu. Nie poddaje własnych pomysłów surowej kontroli ścisłego krytycyzmu, nie zastanawia się dość poważnie nad większą lub mniejszą trafnością zastosowania środków, którymi się posługuje, lecz w bezgranicznej pobłażliwości ojcowskiego optymizmu dopuszcza do partycyi, w danej chwili wszelakie wzloty swojej wyobraźni, zarówno wzniosłe, jak poziome.

Z tej przyczyny powstaje, zauważona i powszechnie stwierdzona, nierówność artystyczna i stylowa jego dzieł, które bywają lepsze lub słabsze i w większym lub w mniejszym stopniu zajmujące, stosownie do ilości udatnych ustępów, które zawierają.

W „Mojżeszu," wystawionym w Filharmonii w roku ubiegłym, przewaga pięknych kart, obrazowo nastrojonych, była znacznie większa, niż w trzech partycyach wykonanych przed tygodniem. To też ówczesna gościna ks. Perosi'ego w Warszawie przybrała rozmiary sensacyi wyjątkowej; tym razem zaś, pomimo tak korzystnie usposabiającego precedensu, nawet w zachwytach uniesień oficyalnych przebijała nuta wstrzemięźliwości umiarkowanej.

Świeżo wykonane dzieła ks. Perosi'ego różnią się bardzo znacznie między sobą. „Sąd ostateczny" jest owocem pracy kilku miesięcy ostatnich; a „Boże Narodzenie" i „Zmartwychwstanie Pańskie" pochodzą z roku 1899. Wobec szybkości, z jaką komponuje, ubiegły okres czasu posiada większe znaczenie, niż przedstawiałby w twórczości innego muzyka. W ciągu tych pięciu lat ks. Perosi zdążył napisać, nieliczące utworów pomniejszych, trzy oratorya, w których jego fantazya twórcza ulegała stale stopniowemu, lecz bardzo wyraźnemu przekształceniu.

W dziełach poprzednich dają się zauważyć poważne ślady wpływu muzyki religijnej z wieków ubiegłych. Zapowiedziane szumnie, a bezpodstawnie głoszone, zespolenie pierwiastków klasycyzmu i modernizmu nie dało się osiągnąć w oratoryach. Więc ks. Perosi począł oddalać się coraz bardziej od programu pierwotnego, zmniejszał systematycznie rozmiary i liczbę ustępów, zbliżonych rytmiką lub nastrojem do oratoryów Händla i Bacha, a natomiast wprowadzał coraz częściej jaskrawe efekty nowoczesnej dekoracyjności dramatycznej.

Co prawda kierunek ten, najdosadniej zaznaczony w ostatnich pracach kompozytora, okazał się najzgodniejszym z jego temperamentem oraz z siłą i wyrazem jego polotu. Nic dziwnego więc, iż po „Mojżeszu" najudatniejszem dotychczas dziele ks. Perosi'ego), i po „Sądzie ostatecznym" zdobnym w ustępy wartości i piękności niepowszedniej, o wiele słabsze, artystycznie mniej równe i nie tak obrazowe partycye „Bożego Narodzenia" i „Zmartwychwstania, pomimo chwil szczęśliwych, które zawierają, spotkały się z przyjęciem wcale chłodnem.

Podczas kiedy gwiazda ks. Perosi'ego poczęła tracić w Warszawie część swego pierwotnego blasku, zapał i względy naszych melomanów zwróciły się silnie ku innemu kompozytorowi włoskiemu, którego praca sceniczna, opera p. t. „Chopin," nietyle oryginalna co niezwykła, ściąga tłumy szczerze rozentuzyazmowanych słuchaczów, do opuszczonej zazwyczaj w bieżącej porze sezonu, sali Teatru Wielkiego.

Jakób Orefice, muzyk poważny, wykształcony i zdolny, ułożył operę z melodyj chopinowskich. Ściśle rzecz biorąc, dzieło jego nie wykracza po za ramy artystycznej roboty kompilacyjnej; lecz pomimo wszelkich zastrzeżeń i uprzedzeń możliwych, pomimo żalu nawet, spowodowanego naruszeniem form i rozmiarów kompozycyi chopinowskich, trzeba przyznać szczerze, iż J. Orefice z powziętego a śmiałego zadania wywiązał się nadspodziewanie dobrze.

Połączenie tematów oraz drobnych ich ułamków zostało uskutecznione z sumiennością niezwykłą. Pietyzm dla puścizny Chopina autor nowej opery posunął tak daleko, że nawet w najmniej znaczących i najprostszych modulacyach posługiwał się stale materyałem oryginalnym, zaczerpniętym wyłącznie z dzieł naszego mistrza.

Dzięki tej nader rzadkiej zalecie idealnej dyskrecyi i skromności powstało dzieło równolite, nastrojowe i stylowe.

Jakób Orefice dokonał wyboru tematów nadzwyczaj zręcznie, składając zarazem dowody świetnie wyrobionego smaku estetycznego oraz gruntownej znajomości chopinowskiego repertuaru. Unikał wszelkich motywów, mających wyłączny charakter poprawności techniki fortepianowej, a posługiwał się tylko pomysłami melodyjnymi i nastrojowymi. Przy pomocy bardzo świetnej instrumentacyi i doskonałego rozłożenia tematów na głosy śpiewacze, spotęgował siłę wyrazu i efektowności rozmaitych melodyj Chopina.

Teatr warszawski zyskał w nowej operze pożądaną a skuteczną siłę przyciągającą, młodzi nasi śpiewacy, zwłaszcza niezmiernie uzdolniony tenorzysta p. Leliwa, mogli dowieść, iż nie są gorszymi artystami, niż goście zagraniczni, miłośnicy firyzmu, uskarżający się na brak świeżego polotu w nowych operach znaleźli sposobność do rozkoszowania się niebywałem bogactwem poetycznego natchnienia i melodyjności.

Bojomir.

NOWE KSIĄŻKI.

— Ryszard Muther: **Historya malarstwa**, tom I i II, przełożył Stanisław Wyrzykowski.

Przyswojenie tej książki zapełnia wielką lukę w naszem piśmiennictwie. R. Muther jest obecnie najlepszym z niemieckich historyków sztuki; nie jest on suchym i wyłącznie historykiem; z gruntowną znajomością rzeczy i trafną metodą badań łączy on dążenia do artystycznego odczucia przedmiotu. W tem podobny jest do drugiej znakomitości niemieckiej, prof. Wölfina. Historyę malarstwa do XIX wieku napisał on do popularnego wydawnictwa lipskiego, noszącego tytuł „Goschen-Sammlung"; pomimo że książeczki swe przeznaczał dla szerszej publiczności, nie zatracił w nich jednak poziomu naukowego. Dziejom malarstwa daje on szerszy zakres; rysując je na tle całokształtu kultury epoki. Charakteryzuje zwięźle i trafnie, przyczem wywody opiera na własnych badaniach. Jedynie zarzucić by można, że nie zawsze mu się udaje artystyczne oddanie treści, że od czasu do czasu zbyt wyraźnie występuje usiłowanie w tym celu, a nie istotne odczucie. Zresztą rzecz to drobna. Jak na historyka sztuki — Niemca, stoi on i pod tym względem o całe niebo wyżej od autorów różnych kompilacyj p. t. „Konstgeschichte," profesorów sztuki itd.

Przyswojenie tej książki daje możność czytelnikom polskim zaznajomienia się z dziejami sztuki; można ją śmiało polecać wszystkim — nawet poczynającym. Przydałyby się coprawda ilustracye, lecz — nie odrazu Kraków zbudowany. Na nasze stosunki i to wydawnictwo jest znacznem ułatwieniem w rozwoju kultury artystycznej. Przekład dobry.

Poezye Cecylii Stattlerowej, Heleny, Klementyny i Maryi Stattlerówien. Warszawa. 1903.

Są pewne utwory, które, choć nie wnoszą nic nowego do chramu piękna, choć nie są czynem artystycznym, choć nawet nie mają budowy zewnętrznej zbyt kunsztownej, jednak nie wywierają przykrego wrażenia, nie pozostawiają po przeczytaniu wspomnień przeciętności. Do takich należą poezye wyżej wymienione. W skromnej swej postaci nie przedstawiają one cech prawdziwej twórczości, są jednak dokumentem dusz, które czuły i szczerze oddały pewne nastroje. Widać za niemi istoty ludzkie, które cierpiały, cieszyły się — szczerze, żyjąc skromnem, lecz własnem życiem wewnętrznem.

zb.

SPRAWY EKONOMICZNE

Tramwaje mechaniczne

w Warszawie.

Magistrat miasta Warszawy zamierza rozszerzyć sieć tramwajową i zaprowadzić w najkrótszym już czasie tramwaje mechaniczne, przeto sprawa wyboru systemu motoru tego ruchu, czyli, technicznie mówiąc, trakcyi jest bardzo interesującą nietylko dla mieszkańców naszego miasta, lecz wogóle. Bliższe wyjaśnienie i porównanie systemów, mających obecnie na tem polu zastosowanie, stanowi sprawę aktualną dla naszego kraju, w którym tego rodzaju urządzenia dopiero zaczynają się rozwijać.

Jeżeli się przypatrzymy w jaki sposób sprawa wyboru trakcyi mechanicznej została załatwioną w większości wypadków w Europie Zachodniej i Ameryce, to się przekonamy, że najczęściej do tramwajów zastosowywano tam trakcyę elektryczną tj. motorem ich ruchu jest elektryczność; drugorzędne zaś pod względem ilościowym miejsce zajmują tramwaje powietrzne i parowe. Inne systemy stosowane są w nielicznych tylko wypadkach.

Pomijając zupełnie tramwaje poruszane motorami parowymi, jako nie wytrzymujące konkurencyi z elektrycznymi i powietrznymi dla zbyt skomplikowanego aparatu motorycznego, zatrzymamy się tylko nad dwoma systemami, które obecnie w Warszawie są rozpatrywane, tj. nad systemami trakcyi elektrycznej i powietrznej.

Nie zatrzymując się nad szczegółami budowy tramwajów elektrycznych i powietrznych, zaznaczyć należy, że trakcya elektryczna wykonana być może trojako:

1) wagony posiadają elektromotory, a stacya centralna dostarcza prądu elektrycznego tym elektromotorom za pomocą przewodu napowietrznego, umieszczonego wzdłuż toru na wysokości około 6 mtr. nad ulicą przez drążek ruchomy, przytmocowany do tramwaju;

2) wagony posiadają takież elektromotory, a prądu dostarcza przewodnik podziemny, ułożony wzdłuż toru i łączony z elektromotorem rozmaitymi sposobami, i

3) oprócz elektromotorów wagony są zaopatrzone w akumulatory będące źródłem energii elektrycznej, i wtedy wagony nie posilkują się żadnym przewodem.

Ze względów ekonomicznych dla Warszawy, należy brać pod uwagę jedynie powyżej zaznaczony, pierwszy system wykonania trakcyi elektrycznej tj. z napowietrznym przewodem elektryczności, gdyż dwa pozostałe są bardzo kosztowne, bądź w urządzeniu (drugi), bądź w eksploatacyi (trzeci). Ten też pierwszy system wykonania trakcyi elektrycznej jest najwięcej rozpowszechniony w Europie oraz Ameryce i wykonywany przez liczne przedsiebiorstwa elektryczne.

Temu systemowi trakcyi elektrycznej przeciwstawia się w Warszawie trakcyę powietrzną, przy której wagony zaopatrzone są w zbiorniki powietrza ścieśnionego oraz w motory powietrzne, podobne do maszyn parowych i służące do poruszania wagonów. Zbiorniki te zawierają powietrze w ilości wystarczającej dla przejazdu wagonu na długości około 20 kilometrów, poczem zasilone być muszą na stacyi końcowej wagonu nowem powietrzem ścieśnionem, przygotowywanem na stacyi centralnej i dostarczanem na miejsce zasilania wagonów drogą przewodu podziemnego.

System trakcyi powietrznej, projektowany dla Warszawy, jest pomysłem inżyniera L. Mękarskiego, mieszkającego oddawna we Francyi i tam zajmującego się urządzaniem tramwajów powietrznych.

System ten tem się charakteryzuje, że w celu powiększenia skutku użytecznej pracy powietrza, rozprężającego się w motorach wagonu, powietrze ogrzewa się za pomocą prostego przepuszczania przez wodę gorącą, w którą wagon jednocześnie z powietrzem jest zaopatrzony.

Aby wyrobić sobie jasne pojęcie o tem, któremu z powyższych systemów trakcyi, elektrycznemu czy powietrznemu, należałoby w Warszawie dać pierwszeństwo, zastanowimy się nad tem, jakim warunkom powinien odpowiadać wogóle tramwaj mechaniczny.

Otóż pierwszym warunkiem jest możliwie daleko idąca taniość tej komunikacyi, a technicznie mówiąc, możliwie mały koszt utrzymania w ruchu jednego wagonu na długości jednego kilometru, licząc w tem wydatki bezpośrednie, a także ogólne i koszt konserwacyi urządzeń z oprocentowaniem kapitału wyłożonego.

Pod względem wysokości wydatków bezpośrednich i ogólnych, — systemem dotychczas najtańszym w eksploatacyi jest elektryczny z przewodem napowietrznym. Jednakże, przyjąwszy pod uwagę pozostałe koszty, tj. koszty konserwacyi, amortyzacyi i oprocentowania, przewaga ta wobec systemu powietrznego znika, gdyż te ostatnie wydatki przy systemie powietrznym, wymagającym mniejszego kapitału i mającym tańszą konserwacyę, — różnicę wyrównywają. Tak, iż zestawiwszy dwa systemy trakcyi mechanicznej tramwajów, wykonane podług ostatnich na tem polu postępów wiedzy i sztuki technicznej: elektryczny z przewodem napowietrznym i powietrzny, oba te systemy pod względem kosztów utrzymania ruchu stoją na jednej wysokości.

Następnym warunkiem, jakiemu powinien odpowiadać tramwaj mechaniczny jest możność utrzymania stałego, nieprzerywanego i niezawodnego ruchu.

Pod tym względem oba te systemy odpowiadają stawianym im wymaganiom.

Przerwie w ruchu tramwajów elektrycznych, wywołanej oberwaniem się drutu napowietrznego, odpowiada ubytek lub brak powietrza w zbiornikach wagonu. Porównywając jednak obie te możliwości więcej prawdopodobnem i w skutkach swych dotkliwem jest oberwanie się przewodu elektrycznego, mogące spowodować nieszczęśliwy wypadek, lub przerwę i zatrzymanie ruchu wagonów na całym torze obsługiwanym przez zerwaną linię. Brak powietrza w zbiorniku wagonu spowodować może jedynie zatrzymanie ruchu jednego wagonu, który następnym transportuje się na stacyę zasilającą.

Więc co do niezawodności ruchu tramwaje pneumatyczne stoją wyżej.

Trzecim warunkiem jest bezpieczeństwo dla służby i publiczności. Na tym punkcie trakcya elektryczna z przewodem powietrznym przedstawia się znacznie gorzej z racyi wielkiej dążności, biegnącego po gołym przewodniku, prądu do połączenia się z ziemią najkrótszą drogą.

Pomijając więc wypadki, wynikające z prawidłowego korzystania z tramwaju elektrycznego i powietrznego, elektryczny oprócz tego może spowodować niepożądane zetknięcie się z drutami elektrycznymi, telefonicznymi i od oświetlenia, czego niema przy tramwajach powietrznych. Na niekorzyść trakcyi elektrycznej przemawiają też pożary, jakie zdarzają się na stacyach centralnych i na kolejach elektrycznych (Metropolitaine w Paryżu).

Dalszym warunkiem jest aby mechanizmy były nieskomplikowane i proste w obsłudze i reperacyi. Pod tym względem tramwaj powietrzny ma przewagę, gdyż korzysta z urządzeń bardzo prostych, jakiemi są motory powietrzne o budowie podobnej do maszyn parowych, znanych prawie każdemu ślusarzowi a nawet kowalowi; gdy urządzenia elektryczne wymagają więcej inteligentnej obsługi.

Nakoniec tramwaje mechaniczne nie powinny psuć estetycznego wyglądu miasta i urządzeniami swemi wpływać na tamowanie ruchu.

Pod tym względem tramwaje elektryczne nie mogą iść w żadne porównanie z powietrznymi, które odpowiadają wszelkim warunkom estetycznym i nie wymagają na ulicach żadnych słupów, zawsze bardzo niepożądanych.

Zestawiając wszystko, cośmy wyżej powiedzieli, musimy przyjść do przekonania, że trakcya powietrzna odpowiedniejsza jest w miastach o znacznym ruchu, jak to ma miejsce w Warszawie.

Do wad trakcyi elektrycznej zaliczyć także należy ujemny wpływ na trwałość rur żelaznych (wodociągowych i gazowych), ułożonych w ziemi. Rury te pod działaniem prądów elektrycznych, które się w nich wzbudzają, ulegają prędszemu zużyciu. A do zalet trakcyi powietrznej w naszych warunkach przybywa fakt, że przy tym systemie znacznie więcej moglibyśmy spotrzebować materyałów i wyrobów krajowych, elektryczność bowiem dotychczas nie jest udziałem naszego przemysłu.

Widzimy więc, że trakcya elektryczna, jakkolwiek ilościowo więcej rozwinięta, jakościowo przedstawia się jednak niżej.

Trakcya powietrzna tem właściwszą jest do zastosowania, gdy przedsiebiorstwo tramwajów znajduje się w ręku zarządu miejskiego, którego dążeniem winno być dostarczanie mieszkańcom nietylko taniej, lecz bezpiecznej i estetycznej lokomocyi.

O ile też nam wiadomo, magistrat m. Warszawy wypowiada się na korzyść trakcyi powietrznej.

Ponieważ jednak te tramwaje, zastosowane szerzej we Francyi, nie znalazły wogóle takiego zastosowania, jak elektryczne, zastanowić się należy nad przyczynami tego.

Otóż z chwilą, gdy łuk Volty i lampka żarowa okazały się praktycznemi źródłami światła, a dynamomaszyna, służąca pierwotnie tylko do przetwarzania energii ruchu ciał na energię elektryczną, także przyrządem zdolnym do celu odwrotnego, to jest elektromotorem do przetwarzania energii elektrycznej na energię ruchu, zastosowanie elektryczności zwiększyło się raptownie, znajdując racyę bytu w wielu dziedzinach pracy ludzkiej.

To nagłe zwiększenie zastosowania elektryczności wpłynęło na niezwykle szybki rozwój produkcyi aparatów elektrycznych. Do niej więc skierowały się wielkie kapitały, widząc tu dobrą lokatę, a za kapitałem poszli i ludzie, jako do nowego źródła pracy. Powstały w krótkim bardzo czasie liczne fabryki i zakłady przemysłowe, wytwarzające jedynie przyrządy elektryczne dla najrozmaitszych zastosowań, liczne szkoły i wyższe uczelnie w celu przygotowywania pracowników dla tej nowej dziedziny.

Znaczny więc zastęp ludzi dziś specyalnie poświęca się elektryczności i dąży do tego, aby ona znalazła szerokie zastosowanie. Fakta te, w liczbie innych, wpłynęły na zdobycie przez elektryczność tak wybitnego stanowiska w trakcyi mechanicznej tramwajów. Prócz tego przyjąć należy pod uwagę, że przedsiebiorstwa elektryczne, wytwarzając przyrządy elektryczne, dążą do powiększenia zbytu i w tym celu nieraz tworzą nowe przedsiebiorstwa i wkładają w nie swe kapitały, aby tą drogą stworzyć nowe rynki dla swoich wyrobów. Tak się ma zwykle z tramwajami elektrycznymi.

Miastu zazwyczaj proponują urządzenie na warunkach koncesyi, tj. jedynie z prawem eksploatowania przez pewien czas, po którym przedsiebiorstwo przechodzi na własność miasta. Takie przedsiebiorstwa, inicyowane przez potężne kapitały i przez producentów wytworów elektrycznych, mają racyę bytu, gdyż przynoszą pożytek mieszkańcom, dają pożądane odsetki od kapitału ulokowanego i są miejscem konsumcyi wielkiej ilości aparatów elektrycznych. Fakt ten najbardziej wpłynął na znakomite rozpowszechnienie się trakcyi elektrycznej wobec innych systemów.

System trakcyi powietrznej jest starszy od trakcyi elektrycznej, lecz powietrze ścieśnione nie ma tak obszernego i powszechnego zastosowania we wszystkich dziedzinach przemysłu i techniki, nie rozwinęło się tak, jak elektryczność i nie jest reprezentowane przez żadne większe grupy kapitalistów, którzyby wyłącznie jego zastosowaniem się zajmowali, stąd wynika nierówność w zdobytych zakresach pracy dwóch tych systemów.

Warszawa, wybierając system tramwajów powietrznych, uczyni krok wbrew przyjętej już poniekąd na Zachodzie, szczególniej w Niemczech, rutynie, lecz krok ten jest słusznym, uzasadnionym i leżącym w interesie ogółu mieszkańców miasta.

PRASA POLSKA.

Kuryer Warszawski obmyślił bardzo prosty a skuteczny sposób utrzymania społeczeństwa w zdrowiu:

„Wesołość — powiada on — jest przyrodzoną właściwością towarzyskości — jej kwiatem... Rozsadnikami zaś tego zadowolenia, pogodnego i wesołego usposobienia, słowem: wesołości — są *wszelkiego rodzaju stowarzyszenia*, asocyacye. Prawda? *Zatem*, należy jak najwięcej stowarzyszeń wszelkiego rodzaju powoływać do życia?

— Rozumuję tak: wzrasta liczba stowarzyszeń, wzrastają nieodzowne obchody i fety, które natychmiast każde stowarzyszenie ustanawia, i one to krzewią, aby użyć najpospolitszego wyrażenia: dobry humor wśród społeczeństwa, zamroczonego zgubnym dla niego pesymizmem.

— A któżby chciał zalecać jakąś dziką, bezmyślną lub rozpasaną wesołość! Ta, o której mówię, jest związana ściśle ze spokojem społecznym; wypływa ona z *harmonii społecznej* i sama harmonię tę stwarza. *Wyłącza gwałt wszelki i ucisk;* zawiść i nienawiść, nawet tryumfujące i zwycięzkie, nie są wesołe. Dobroć, nawet zwyciężona — uśmiech ma pogodny."

Niepodobna tej „recepcie" odmówić pewnej dozy naiwności, ale także i racyi; bo rzeczywiście, gdyby wielu naszym stowarzyszeniom odjąć jako cel zabawę, niewiele by z nich pozostało.

— W ostatnim numerze (17) *Czytelni dla wszystkich* pan K. B. porusza ważną sprawę samouctwa, obejmującego coraz szersze kręgi naszego społeczeństwa, lecz stwierdza to, o czem już niejednokrotnie pisaliśmy: że dla zaspokojenia potrzeb tego ruchu nie mamy dostatecznej ilości książek.

„Brak nam całych działów —mówi *Czytelnia*—z geografii niema opisu Anglii, Niemiec, Węgier i całego południa Europy—ba! niema nawet całego opisania Królestwa Polskiego. A cóż mówić o innych częściach świata? Wskażcie, proszę, chłopu odpowiednią mineralogię, fizykę, chemię, fizyologię roślin? Niema ani jednej! Więc może historyę powszechną, ekonomię polityczną, wykład prawa gminnego itd. itd.? Niema [illegible]

To samo się dzieje z książkami dla samouków miejskich:

„Powinniby mieć ze wszystkich gałęzi nauk szereg książeczek dostosowanych do swojego rozwoju i swoich potrzeb — takie książki to są tarany, rozbijające mur, za którym palą się już światła."

Jednocześnie zaznacza p. K. B. brak zupełny kierownictwa dla samouka z ludu i konieczność stworzenia odpowiedniego dla niego „Poradnika." Przypuszczamy, że znajdą się ludzie, którzy to wezwanie podejmą i potrzebie jak najprędzej postarają się zadośćuczynić.

Co się zaś tyczy książek, przypominamy, że w nr. 15 *Prawdy* z 9 kwietnia r. b. zapowiedzieliśmy wydawnictwo, w którem, wzorując się na tego rodzaju niemieckiem dziele, zamierzamy dać cały szereg systematycznie opracowanych, zwięźle, treściwie i popularnie przedmiot traktujących książeczek, mających złożyć swego rodzaju encyklopedyę dla samouków z ludu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Kur. Wars.* donosi, że grono filantropów miejscowych wniosło do władz podanie o udzielenie pozwolenia na założenie w Warszawie Towarzystwa opieki nad biednymi chłopcami, pozbawionymi rodziny. Celem nowej instytucyi ma być szczepienie zamiłowania do pracy, szerzenie moralności wśród dziatwy, żyjącej w opuszczeniu, z której później wychodzą głównie bohaterowie noża. Troskliwa opieka i wdrożenie do zajęcia może ich uratować od szkodliwych wpływów otoczenia. Towarzystwo zamierza urządzać przytułki lub kolonie rzemieślnicze, gdzie chłopcy oprócz czytania i pisania będą się uczyli rzemiosła, rolnictwa lub ogrodnictwa.

— W Lipinku, pod Białą, hakatyści napadli na czytelnię polską Tow. szkoły ludowej i wybili kamieniami szyby w całym domu.

— Od 13 do 18 czerwca r. b. odbędzie się w Berlinie międzynarodowy kongres kobiecy.

— Redaktor *Górnoślązaka*, p. Wolski, skazany został na 450 m. kary za artykuł, w którym prokurator dopatrzył dążności podburzających lud polski przeciw Niemcom.

— Do *Frajnda* z Buenos-Ayres donoszą, że wydane tam zostało prawo, wskutek którego zamknięto wszystkie gniazda rozpusty, mieszczące „żywy towar", przysyłany przeważnie z naszych stron. Handlarze czynili rozpaczliwe wysiłki, ażeby przeszkodzić uchwaleniu tego prawa, a gdy im się nie udało, wyprowadzili się do prowincyonalnych miasteczek argentyńskich lub wywędrowali do Brazylii oraz krajów ościennych. O uchwalenie prawa wystarało się u rządu argentyńskiego międzynarodowe towarzystwo zwalczania handlu żywym towarem, posiadające oddział w Argentynie. (*Gaz. Pols.*).

— Zuchwałość hakatystów objawia się nawet po za granicami ich ojczyzny. Świadczy o tem następująca wiadomość nadesłana z Baku do *Posener Tagebl.*: „Na zebraniu tutejszego związku wojaków zdarzyło się brzydkie zajście. Przy śpiewaniu piosenki: „Ich bin ein Preusse" zauważył tutejszy nauczyciel katolicki, Weland, że pewien Polak, N., śpiewał: „Ich will ein Pole, will ein Pole sein." Gdy nauczyciel uwiadomił o tem zebranych, powstało wielkie oburzenie. Na zapytanie przewodniczącego, wystosowane do N., czy jest Niemcem, ten odpowiedział: „Nie, ja jestem Polakiem!" Dalsze potrzebne kroki w tej sprawie przedsiewziął zarząd związku wojackiego, któremu też przedstawiono wniosek, aby rozmowy na zebraniach związku toczyły się tylko w języku niemieckim."

— Policya berlińska skonfiskowała w stowarzyszeniach polskich kopie obrazów historycznych, uważając je za przedmioty agitacyjne.

— Papież odrzucił skargę kard. Koppa przeciw ks. Mikulskiemu z Krakowa o nieprawne udzielenie ślubu Korfantemu.

Szkoły i wychowanie. W uniwersytecie warszawskim w r. b. przyznano stypendya 117 studentom.

— Ministeryum oświaty upoważniło kuratora warszawskiego okręgu naukowego do wydawania pozwoleń na otwieranie kursów prywatnych.

— *Wars. Dn.* donosi, że w r. b. studenci politechniki warszawskiej korzystali z następujących zapomóg: 1) stypendya, zatwierdzone przy politechnice, pobierało 33 studentów w sumie 6,803 rb. 40 kop.; 2) stypendya i wsparcia, przysłane przez różne osoby i instytucye lub osiągnięte z koncertów itp. otrzymało 95 studentów w sumie 5,450 rb. 91 kop.; 2) z funduszów politechniki wydano wsparć: w pierwszem półroczu 126 studentom w sumie 2,428 rb., a w drugiem 126 studentom w sumie 2,959 rb.; 4) uwolniono od w pisu w pierszem półroczu 272 studentów w sumie 10,775 rb. i w drugiem 242 studentów w sumie 9,825 rb.

— Z rozporządzenia ministeryum oświaty w Austryi abituryentkom liceów żeńskich pozwolono kształcić się w zawodzie farmaceutycznym.

— Komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa, na skutek starań delegacyi gorzelniczej przy Sekcyi rolnej, postanowił urządzać corocznie w miesiącach letnich, w zakładach prowadzonych wzorowo, systematyczne, dwutygodniowe kursa praktyczne dla gorzelników; co zaś do kursów teoretycznych, sprawa ta ma być załatwioną po wyszukaniu osób odpowiednich do prowadzenia wykładów.

— Zarząd Tow. Osad rolnych ogłasza o wakującej posadzie dyrektora-pedagoga w osadzie rolniczo-rzemieślniczej w Studziańcu.

— Żyd, wychowaniec szkoły handlowej w Zgierzu, wysłał podanie do ministeryum oświaty o przyznanie mu tytułu nauczyciela elementarnego bez egzaminu, po odbyciu lekcyi próbnej. Komitet odpowiedział, że prawo może mu być przyznane pod warunkiem nauczania wyłącznie współwyznawców.

— Władza uniwersytecka w Heidelbergu odmówiła przyjęcia w poczet słuchaczek kobiet z państwa rosyjskiego, powołując się na obostrzone przepisy.

— W wolnym uniwersytecie, w Zakopanem, dotychczas zapewnione są następujące wykłady: W dziale filozofii i nauk przyrodniczych: Ludwik Krzywicki: Typy antropologiczne a związki etniczne (zarys antropologii i etnografii z uwzględnieniem etnografii polskiej), 6 godzin. Adam Mahrburg: Psychologia woli, 6 godzin; zagadnienie bytu, 6 godzin. Kazimierz Twardowski: Główne prądy w filozofii wieku XIX, 6 god.; wycieczki geologiczne pod kierunkiem Mieczysława Limanowskiego w połączeniu z wykładem: O powstawaniu gór (przykład Tatry), 6 godzin. — W dziedzinie językoznawstwa: Jan Baudoin de Courtenay: Psychologia języka ze szczególnem uwzględnieniem psychologii języka polskiego, 8 godzin. — Z historyi: Bolesław Limanowski, 4 godziny; Karol Potkański, 5 godzin; Wacław Sobieski, 6 godzin; Michał Sokolnicki, 6 godzin. — W dziale literatury i sztuki: Wilhelm Feldman: Stefan Żeromski, 6 godzin; Artur Górski: o Mickiewiczu, 3 godziny; Jan Kasprowicz: romantyzm niemiecki, 6 godzin; Kazimierz Mokłowski: dwutorowość naszej kultury artystycznej, 4 godziny; Stanisław Witkiewicz: sztuka w życiu narodowem, 4 godziny. — Z ekonomii politycznej i socyologii: Zofia Golińska: podstawy polityki społecznej, 6 godzin, Kazimierz Krauz: nowoczesny ruch społeczny, 6 god.; Ludwik Krzywicki: psychologia życia zbiorowego, 8 godzin. — Z dziedziny prawa: Posner: główne prądy i zadania współczesnej filozofii prawa, 6 godzin. Nadto współudział przyrzekli: Oswald Balzer, Ludwik Gumplowicz, Ignacy Radziszewski, Władysław Heinrich, Stanisław Krzemiński i August Witkowski. Wykłady będą się odbywały od 1 sierpnia do połowy września, w godzinach przedpołudniowych między 8—1, codziennie z wyjątkiem niedziel. Po południu będą się odbywały z większości wykładów „konwersatorya" o charakterze swobodnych pogadanek. Nadto są projektowane wycieczki naukowe; na razie są przygotowane dwie geologiczne. Wpis na wszystkie wykłady wyniesie 20 k. dla członków, a 24 dla nieczłonków. Wstęp na jeden wykład dla członków 50 h., dla nieczłonków 1 k. Zakopiańska komisya ułatwia słuchaczom pobyt w Zakopanem, obliczając miesięczne wydatki na 110 koron.

Wiadomości naukowe. W *Kur. Wars.* czytamy: Rozpatrzywszy przedstawienie zwierzchności naukowej w sprawie przyznania niektórym lekarzom stopnia medycyny, ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora warsz. okręgu, że egzaminy na stopień lekarza i doktora medycyny do 1893 r. odbywały się w uniwersytecie warszawskim na mocy postanowień ustawy lekarskiej. Według tych przepisów można było zdawać egzamin na stopień doktora medycyny, przyczem kandydat otrzymywał to, na co zasłużył, tj. dyplom lekarza lub doktora. Następnie na mocy tych przepisów, otrzymawszy stopień lekarza, kandydat mógł przystąpić do egzaminu na stopień doktora medycyny i wtedy był wolny od egzaminu z przedmiotów dodatkowych. W 1893 r. prawo do egzaminu na doktora medycyny było zniesione w uniwersytetecie warszawskim. Okazuje się, że lekarze przystępowali do egzaminu na stopień doktora medycyny w 1883 r. i otrzymali tylko tytuł lekarza z odznaczeniem. Następnie od r. 1890 ci lekarze prosili uniwersytet o różne zaświadczenia, potrzebne do uzyskania prawa ubiegania się o stopień doktora medycyny za pomocą złożenia i obrony jednej tylko rozprawy naukowej, bez innych ustnych lub piśmiennych egzaminów. Obecnie ministeryum uznaje, że lekarze ci dla otrzymania stopnia doktora medycyny powinni poddać się wszystkim egzaminom, z wyjątkiem przedmiotów dodatko-[illegible]

— Dnia 20 czerwca w Arezzo mieście rodzinnem Petrarki, urządzona będzie uroczystość uczczenia 600-ej rocznicy urodzin poety. Nadto ma być wzniesiony pomnik, na który rząd włoski ofiarował 75,000 lirów, oraz ukazać się wydanie historyczno-krytyczne dzieł Petrarki.

Literatura i prasa. *Now. Wr.* donosi, że w Władywostoku zaprowadzono cenzurę wojskową dla depesz i korespondencyi z placu boju.

— Gazeta *Wołyń*, zawieszona przez władze na trzy miesiące, zaczęła na nowo wychodzić.

Ze sztuki. D. 30 z. m. otworzono w Lublinie przenośną wystawę sztuk pięknych, urządzoną staraniem warszawskiego „Salonu artystycznego."

Z muzyki. „Lutnia" warszawska ogłosiła konkurs na pieśń czterogłosową, na głosy męzkie, do słów dowolnie wybranych. Nagrody cztery: jedna 25 rb. i trzy po 15 rb.; termin do 1 października r. b.

Sprawy ekonomiczne. W gmachu panoramy przy ulicy Karowej urządzona będzie stała wystawa przedmiotów przemysłu, rękodzielnictwa i sztuki stosowa-[illegible]

— Senat wyjaśnił, że sprzedaż z subhastacyi nieruchomości przed niewłaściwym sądem nie czyni licytacyi nieważną, jeśli protest odpowiedni nie został wniesiony w czasie właściwym.

— [illegible] na rzecz Czerwonego krzyża przywożonych z zagranicy przedmiotów zbytkowych oraz biletów osobowych na parostatkach morskich i rzecznych.

Poczta. Pobierana dotychczas za przesyłkę pakietów opłata w gotówce zastąpioną będzie markami.

— Od 14 maja r. b. zaprowadzona będzie wymiana przekazów pieniężnych między Rosyą a Belgią.

Katastrofy. Miasteczko Buczacz, w Galicyi, uległo klęsce ognia, spaliło się kilkaset zabudowań, nie obeszło się przytem bez strat w ludziach.

— W Witebsku spaliła się dzielnica Iliaszczyna, zamieszkana przeważnie przez ludność ubogą.

— W kopalni „Reunion,“ pod Sewillą, zawaliły się korytarze podziemne — wydobyto 65 górników zabitych i kilkudziesięciu ranionych.

Zmarli. Jan Wacław Gasztowt, tłomacz celniejszy utworów polskich na język francuski, w Tunisie.

— Oktawiusz Greard, pedagog, członek Akademii francuskiej, reformator szkół średnich we Francyi, autor kilku dzieł specyalnych, w Paryżu.

— D. 6 kwietnia zmarł w Zgierzu ks. Ernest Wilhelm Bursche, superintendent dyecezyi płockiej, pastor zgierski, człowiek zacny i wysoko przez wszystkich bez wyjątku ceniony.

— Antoni Dworzak, kompozytor czeski. Utwory jego zjednały mu wielką popularność i stanowisko wybitne w gronie znakomitości czeskich.

OFIARY.

Na powodzian. N. z Batumu 15 rb., Hel. W. i Wacł. W. 1 rb. 50 kop.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Апрѣля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.